

AMELIE NOTHOMB
SŁOWNIK
IMION WŁASNYCH
Przełożyła JOANNA PO LACHOWSKA
Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA

/

Tytuł oryginału: Robert des noms propres

Projekt okładki: Maciej Sadowski

Redakcja: Maria Braunstein

Redakcja techniczna: Zbigniew Katafiasz

Korekta: Marianna Falk

Ź-3

© Editions Albin Michel SA. - Paris 2002 for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa

2003 g for the Polish translation by Joanna Polachowska

ISBN 83-7319-445-2

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Warszawa 2003

1(99 03

Lucette już ósmą godzinę leżała bezsennie. Dziecko w jej brzuchu od wczoraj miało czkawkę. Co cztery, pięć sekund potężny wstrząs targał ciałem tej dziewiętnastoletniej dziewczyny, która rok temu postanowiła zostać żoną i matką.

Bajka zaczęła się pięknie: Fabien był przystojny, twierdził, że zrobiłby dla niej wszystko, a ona uwierzyła mu na słowo. Chłopcu, jej rówieśnikowi, spodobał się pomysł zabawy w małżeństwo; któregoś dnia skonsternowana i wzruszona rodzina ujrzała ich dwoje na ślubnym kobiercu.

Niedługo potem Lucette triumfalnie obwieściła, że jest w ciąży.

Jej starsza siostra zapytała:

- Czy trochę nie za wcześnie?

- Na to nigdy nie'jest za wcześnie! - odrzekła młodsza z egzaltacją.

Powoli jednak wszystko zaczynało wyglądać coraz mniej bajkowo. Fabien i Lucette często się sprzeczali. On, który był taki szczęśliwy, kiedy się dowiedział, że Lucette jest w ciąży, mówił teraz:

5

- Po urodzeniu dziecka będziesz musiała skończyć z tymi swoimi szaleństwami.

- Grozisz mi? Fabien, trzaskając drzwiami, wychodził.

Ale ona wiedziała, że nie jest szalona. Chciała życia bogatego i intensywnego. Czyż nie byłoby szaleństwem chcieć czegoś innego? Chciała, żeby każdy dzień, każdy rok przynosiły jej jak najwięcej.

Teraz do niej dotarło, że Fabien nie dorósł do sytuacji. Był zwykłym chłopakiem. Najpierw zabawiał się w małżeństwo, a teraz bawił się w męża. Nie miał w sobie nic z księcia z bajki.

Ona go denerwowała. Mówił:

- No tak, Lucette znowu odbiło.

Czasami bywał miły. Gładził jej brzuch, mówiąc:

- Jeśli to będzie chłopiec, damy mu na imię Tanguy. Jeśli dziewczynka, Joelle.

Lucette myślała sobie jednak, że nienawidzi tych imion.

W bibliotece dziadka znalazła encyklopedię z ubiegłego wieku. Były w niej różne fantastyczne imiona wróżące niezwykłą przyszłość. Lucette pilnie je wynotowywała na skrawkach papieru, które czasami gubiła. Później znajdowano tu i ówdzie zmięte strzępki z napisami „Eleu-there” albo „Lutegarde”, ale nikt nie wiedział, co oznaczają te wytworne trupy.

Wkrótce dziecko zaczęło kopać. Ginekolog powiedział, że jeszcze nigdy nie spotkał tak ruchliwego płodu: „Prawdziwe kuriozum!”.

6

Lucette uśmiechała się. Już teraz jej maleństwo było wyjątkowe. Rzecz działa się w nie tak znów odległych czasach, kiedy to nie istniała jeszcze możliwość poznania zawczasu płci dziecka. Ale dla ciężarnej dziewczyny nie miało to znaczenia. Puszczając wodze fantazji, zawyrokowała:

- Będzie tancerzem lub tancerką.
- Nie - protestował Fabien. - Będzie piłkarzem albo nudziarą.

Patrzyła na niego, trąc rękami oczy. Nie mówił tego złośliwie, tylko się z nią przekomarzał. Dla niej jednak pomysły tego dużego dzieciaka świadczyły o jego ukrytej przyziemności.

Kiedy była sama, a płód wiercił się jak szalony, przemawiała do niego czule:

- Tańcz, mój aniołku, tańcz sobie. Ochronię cię, nie pozwolę, żebyś został piłkarzem Tanguy albo nudziarą Joelle, będziesz mógł tańczyć, gdzie tylko ci się spodoba, w paryskiej Operze albo dla Cyganów.

Fabien stopniowo nabrał zwyczaju znikania na całe popołudnia. Wychodził po obiedzie i wracał koło dziesiątej wieczorem bez słowa wyjaśnienia. Wyczerpana ciężą Lucette nie miała siły, żeby na niego czekać. Kiedy wracał, już spała. Rano do wpół do dwunastej wylegiwał się w łóżku. Wypijał filiżankę kawy i palił papierosa, wpatrując się przed siebie pustym wzrokiem.

- Co się z tobą dzieje? Czy ty się przypadkiem za bardzo nie przemęczasz? - zapytała któregoś dnia.

- A ty? - odwarknął.
- Ja noszę dziecko. Nie słyszałeś o tym?

7

- Jasne, że słyszałem. Przecież wciąż o tym mówisz.
- Bo wyobraź sobie, bycie w ciąży jest bardzo męczące.
- Nie moja wina. To ty chciałaś dziecka. Nie mogę go nosić za ciebie.
- Czy mogę wiedzieć, co robisz całymi popołudniami?
- Nie możesz. Rozzłościła się:
- Nic nie wiem! O niczym mi już nie mówisz!
- Bo oprócz dziecka nic cię nie interesuje.
- No to postaraj się być interesujący; wtedy się tobą zainteresuję.
- Jestem interesujący.
- No dalej, zainteresuj mnie czymś, jeśli potrafisz! Fabien westchnął i poszedł po futerał.

Wyjął z niego

rewolwer. Lucette wybałuszyła oczy.

- To właśnie robię popołudniami. Strzelam.
- Gdzie?
- W takim jednym zamkniętym klubie. Zresztą nieważne.
- I w środku są prawdziwe kule?
- Tak.
- Do zabijania ludzi?
- Na przykład.

Pogładziła broń, zafascynowana.

- Jestem coraz lepszy. Już przy pierwszym strzale trafiam w sam środek tarczy. Nie masz pojęcia, jakie to uczucie. Uwielbiam to. Kiedy zaczynam, nie mogę skończyć.
- Rozumiem.

Nieczęsto się zdarzało, żeby się rozumieli.

8

Starsza siostra, mająca już dwójkę własnych dzieci, odwiedzała Lucette, którą uwielbiała. Uważała, że z tym swoim wielkim brzuchem wygląda tak ślicznie i tak subtelnie. Któregoś dnia posprzeczały się:

- Powinnaś mu powiedzieć, żeby poszukał pracy. Przecież wkrótce będzie ojcem.
- Mamy dziewiętnaście lat. Utrzymują nas rodzice.
- Nie będą was utrzymywali w nieskończoność.
- Dlaczego zwracasz mi głowę takimi głupstwami?
- Kiedy to nie są głupstwa.
- Że też zawsze musisz mi popsuć humor!
- Co ty opowiadasz, Lucette...
- I zaraz mi powiesz, że powinnam być rozsądna i całe to blablaba!
- Zwariowałeś! Nic podobnego nie powiedziałam!
- No właśnie! Zwariowałam! Tylko na to czekałam! Po prostu mi zazdrościsz! Chcesz mnie zniszczyć!
- Ależ Lucette...
- Wynoś się! - wrzasnęła Lucette.

Starsza siostra, przygnębiona, wyszła. Zawsze wiedziała, że młodsza ma kruchą psychikę, teraz jednak zaczynało to wyglądać niepokojąco.

Odtąd, kiedy do niej telefonowała, Lucette odkładała słuchawkę.

„I bez tego mam dość problemów” - myślała.

W rzeczywistości jednak czuła, choć nie chciała się do tego przyznać, że zabrnęła w ślepy zaułek i że jej starsza siostra o tym wie. Z czego będą żyli? Fabiena interesowała tylko broń palna, a ona sama do niczego się nie nadawała. Przecież nie zostanie kasjerką w supermarkecie. Zresztą pewnie by nawet tego nie potrafiła.

Chowała głowę pod poduszkę, żeby już o tym nie myśleć.

9

Tak więc tej nocy dziecko w brzuchu Lucette dostało czkawki.

Trudno sobie wyobrazić, jak wielki wpływ może mieć czkawka płodu na dziewiętnastoletnią, niezwykle wrażliwą dziewczynę w ciąży.

Fabien spał jak zabity. Ona zaś już ósmą godzinę leżała bezsennie i była w ósmym miesiącu ciąży. Czuła się tak, jakby jej wielki brzuch krył w środku bombę z opóźnionym zapłonem. Wydawało jej się, że każde czknięcie pokrywa się z kolejnym tyknięciem przybliżającym moment eksplozji. Fantasmagoria zamieniła się w rzeczywistość; wybuch faktycznie nastąpił, tyle że w głowie Lucette.

Wiedziona nagłym przeświadczeniem, pod którego wpływem nareszcie przejrzała na oczy, wstała.

Powędrowała do skrytki, gdzie Fabien trzymał rewolwer. Wróciła do łóżka, w którym spał chłopak. Wpatrując się w jego piękną twarz, wycelowała w skroń i szepnęła:

- Kocham cię, ale muszę chronić przed tobą dziecko. Przyłożyła lufę i strzelała, dopóki nie opróżniła całego magazynku. Popatrzyła na krew na ścianach. A potem, całkowicie opanowana, zadzwoniła na policję:
- Przyjedźcie. Właśnie zastrzeliłam swojego męża.

Policjantów, którzy przybyli na miejsce, powitała młodziutka dziewczyna w zaawansowanej ciąży, trzymająca w prawej dłoni rewolwer.

- Proszę odłożyć broń! - zawołali groźnie.
- Och, w środku nie ma już naboju - odrzekła, wykonując polecenie.

10

Po czym zaprowadziła policjantów do małżeńskiego łóżka, by pokazać im swoje dzieło.

- Wieziemy ją na komisariat czy do szpitala? _ Po co do szpitala? Nie jestem chora.
- Nigdy nie wiadomo. Ale jest pani w ciąży.
- Przecież jeszcze nie rodzę. Proszę mnie zawieźć na komisariat - zażądała, tak jakby przysługiwało jej to z mocy prawa.

Na komisariacie pouczone ją, że może wezwać adwokata. Odparła, że to niepotrzebne. Potem mężczyzna w biurze zadawał jej niekończące się pytania, między innymi takie:

- Dlaczego zabiła pani męża?
- Dziecko w moim brzuchu dostało czkawki.
- Tak, i co dalej?
- Nic. Zabiłam Fabiena.
- Zabiła go pani dlatego, że dziecko dostało czkawki? Z niejakim zakłopotaniem odpowiedziała:
- Nie. To nie takie proste. To znaczy dziecko już nie ma czkawki.
- Zabiła pani męża tylko po to, żeby dziecku przeszła czkawka?

Parsknęła niestosownym śmiechem:

- Och nie, przecież to śmieszne!
- To dlaczego zabiła pani męża?
- Żeby ochronić przed nim dziecko - odrzekła, tym razem z pełną tragizmu powagą.
- Ach tak. Groziło mu coś ze strony męża?
- Tak.
- Trzeba to było od razu powiedzieć. -Tak.
- A co mu chciał zrobić?

11

- Chciał mu dać na imię Tanguy, jeśli urodzi się chłopiec, albo Joelle, jeśli dziewczynka.
- I?
- To wszystko.
- Zabiła pani męża, bo nie podobały się pani imiona, jakie wybrał dla dziecka?

Zmarszczyła brwi. Czują oczywiście, że jej argumentacja trochę kuleje, mimo to pewna była swojej racji. Świetnie rozumiała powody swojego czynu i tym bardziej frustrowało ją, że nie jest w stanie go wytłumaczyć. Postanowiła więc milczeć. - Jest pani pewna, że nie chce pani adwokata? Tak, była pewna. Niby jak miałyby to wytłumaczyć adwokatowi? Tak samo jak inni uznaliby, że jest niespełna rozumu. Im więcej mówiła, tym bardziej brano ją za wariatkę. Więc nie będzie mówić w ogóle nic.

Poszła do więzienia. Codziennie odwiedzała ją pielęgniarzka. Kiedy matka lub starsza siostra przychodziły z wizytą,

nie chciała ich widzieć. Odpowiadała tylko na pytania dotyczące ciąży. Poza tym milczała.

W duchu mówiła sobie: „Dobrze zrobiłam, że zabiłam Fabiena. Nie był zły, był po prostu przeciętny. Jedyne w nim nieprzeciętne to rewolwer, ale on nawet ten rewolwer wykorzystywałby w sposób banalny, przeciwko okolicznym rzezimieszkom, albo pozwalałby się nim bawić dziecku. Dobrze zrobiłam, obracając go przeciw niemu. Nazwać własne dziecko Tanguy albo Joelle to skazać je na banalny świat, zamknąć mu horyzonty. A ja przed

12

moim dzieckiem chcę otworzyć nieskończoność. Chcę, żeby nic go nie ograniczało, żeby jego imię utorowało mu drogę do niezwykłego losu".

W więzieniu Lucette urodziła dziewczynkę. Wzięła ją w ramiona, a jej wzrok wyrażał całą miłość świata. Nigdy jeszcze żadna matka nie była tak oczarowana swoim dzieckiem.

- Jesteś przepiękna - powtarzała maleństwu.

- Jak da jej pani na imię?

- Plectrude.

Przed Lucette predefiniowała delegacja protestujących klawiszek, psychologów, różnych bliżej nieokreślonych prawników i jeszcze bardziej nieokreślonych lekarzy: przecież nie może tak nazwać córki.

- Właśnie że mogę. Była nawet taka święta. Nie wiem, czego dokonała, ale była.

Specjalista, u którego zasięgnięto języka, potwierdził.

- Niech pani pomyśli o dziecku, Lucette.

- Myślę tylko o nim.

- To narazi je wyłącznie na kłopoty.

- To zawczasu uzmysłowi ludziom, że jest kimś wyjątkowym.

- Można mieć na imię Marie i też być kimś wyjątkowym.

- Takie imię jak Marie przed niczym nie ochroni. A Plectrude tak: twarda końcówka brzmi jak dźwięk tarczy.

- To niech ją pani nazwie Gertrudę. Takie imię łatwiej nosić.

- Nie. Pierwsza sylaba Plectrude przywodzi na myśl pektorał; takie imię to talizman.

13

_ To imię jest groteskowe, wystawi ją pani na pośmiewisko.

_ Właśnie że nie, to imię da jej siłę, by mogła się bronić.

_ Ale po co w ogóle stwarzać sytuacje, żeby musiała się bronić? I bez tego czeka ją wystarczająco dużo problemów.

_ Chodzi o mnie?

_ jyyUędzy innymi.

_ Bez obawy, nie będę jej długo zawadzać. A teraz proszę posłuchać: siedzę w więzieniu, pozbawiona wszelkich praw. Jedyne, co mi wolno jeszcze zrobić, to nazwać własne dziecko, jak mi się podoba.

_ To egoizm, Lucette.

_ tyfręcz przeciwnie. A zresztą to nie wasza sprawa.

Kazała ochrzcić dziecko w więzieniu, by mieć pewność, że jej życzeniu stanie się zadość.

Tej samej nocy z podartych prześcieradeł skreśliła sznur i powiesiła się w celi. Rankiem odkryto jej lekkie zwłoki- Nie zostawiła żadnego listu, żadnego wyjaśnienia. jej testamentem było imię córki, przy którym tak się upierała.

Clemence, starsza siostra Lucette, przyjechała odebrać niemowlę. W więzieniu wszyscy byli niezmiernie szczęśliwi, re pozbyli się małej, urodzonej pod tak przerażającymi auspicjami.

Clemence i jej mąż Denis mieli dwoje własnych dzieci w wieku dwóch i czterech lat: Beatrice i Nicole. Postanowili, że Plectrude będzie ich trzecim dzieckiem.

Beatrice i Nicole przyszły obejrzeć nową siostrzyczkę. Nie miały żadnych podstaw, by przypuszczać, że jest ona

14

córką Lucette, której istnienie nigdy w gruncie rzeczy tak do końca do nich nie dotarło.

Były za małe, by zdać sobie sprawę z dziwaczności imienia dziewczynki; mimo niejakich trudności z wymówieniem go, po prostu przyjęły je do wiadomości. Przez długi czas nazywały ją: Plectrude.

Ze świecą by szukać drugiego niemowlęcia obdarzonego taką łatwością wzbudzania miłości w innych. Czyżby czuło, w jak tragicznych okolicznościach przyszło na świat? Swym

przejmującym spojrzeniem zdawało się zaklinać otoczenie, by nie przywiązywało do tego żadnego znaczenia. Trzeba dodać, że dysponowało w tym celu specjalnym atutem: oczami nieziemskiej wprost urody.

Drobne i chude maleństwo wlepiło w upatrzonej cel swe niesamowite spojrzenie - niesamowite tak pod względem intensywności, jak wymowy. Jego cudowne, olbrzymie oczy mówiły do Clemence i do Denisa: „Kochajcie mnie! Waszym przeznaczeniem jest mnie kochać. Mam dopiero osiem tygodni, lecz już teraz jestem kimś wyjątkowym. Gdybyście wiedzieli, ach, gdybyście tylko wiedzieli...”.

Clemence i Denis zdawali się wiedzieć. Z miejsca poczuli do Plectrude bez mała uwielbienie. Była niezwykła, nawet w tym, z jak nieznośną wręcz powolnością opróżniała butelkę, w tym, że nigdy nie płakała, że nocą sypiała niewiele, za to dużo w ciągu dnia, w tym, z jaką pewnością wskazywała palcem interesujące ją przedmioty.

Każdemu, kto brał ją na ręce, przyglądała się poważnie i w skupieniu, jakby chcąc dać do zrozumienia, że oto zaczyna się wielka miłość i rzeczywiście można się wzruszyć.

15

Clemence, która gorąco kochała swoją zmarłą siostrę, przeniosła to uczucie na Plectrude. Nie kochała jej bardziej niż dwojga własnych dzieci; kochała ją inaczej. Nicole i Beatrice budziły w niej nieodpartą czułość; Plectrude - uwielbienie.

Starsze córki były śliczne, grzeczne, inteligentne i miłe; najmłodsza była wyjątkowa - promienna, żywa, zagadkowa, szalona.

Denis również od samego początku stracił dla mej głowę i tak już zostało. Nic jednak nie dorównywało tej świętej miłości, jaką darzyła ją Clemence. Siostrę i córkę Lucette połączyła prawdziwa namiętność.

Plectrude była niejadkiem i rosła równie powoli jak iadła. Wszystkich doprowadzało to do rozpaczki. Nicole i Beatrice miały wilczy apetyt i rosły w oczach. Ich krągłe rumiane policzki radowały serca rodziców. Plectrude rosły tylko oczy.

- Czy naprawdę będziemy ją tak nazywać? - zap.

któregoś dnia Denis. _ Oczywiście, mojej siostrze zależało na tym imieniu.

- Twoja siostra była szalona.

- Wcale nie. Moja siostra była bardzo wrażliwa. Zresztą Plectrude to ładne imię.

- Tak sądzisz?

- Tak. No i pasuje do niej.

- Z tym się nie zgodzę. Wygląda jak czarodziejka. Ja nazwałbym ją Aurorę.

- Za późno. Dziewczynki przyzwyczyły się już do jej imienia. Zresztą ono naprawdę do niej pasuje: kojarzy się ze średniowieczną księżniczką.

16

- Biedne dziecko! Trudno jej będzie w szkole z takim imieniem.

- Jej akurat nie będzie. Ma na to zbyt silną osobowość.

Pierwsze słowo Plectrude wymówiła w normalnym wieku i brzmiało ono: „mama”.

Clemence była w siódmym niebie. Rozbawiony Denis przypomniał jej, że „mama” było pierwszym słowem każdego z ich dzieci, jak zresztą wszystkich innych dzieci na świecie.

- To nie to samo - powiedziała Clemence.

Przez długi czas „mama” było jedynym słowem Plectrude. Niczym pępowa stanowiło dla niej wystarczającą więź ze światem. Od razu też osiągnęła w nim wyżyny perfekcji brzmieniowej, pewnym głosem, artykułując pierwszą sylabę, nie tak jak większość niemowląt z ich „mamamama”.

Wymawiała je rzadko, lecz kiedy już wymówiła, to z podniosłą wyrazistością, wymuszającą posłuch. Można by przysiąc, że czeka na właściwy moment, by tym większe wywrzeć wrażenie.

Clemence miała sześć lat, kiedy urodziła się Lucette, i dobrze pamiętała siostrę, gdy ta miała rok, dwa lata itd. O jakimkolwiek podobieństwie nie mogło być mowy:

- Lucette była zwyczajnym dzieckiem. Często płakała, raz była rozkoszna, raz niezdolna. Nie miała w sobie nic wyjątkowego. Plectrude nieistotnie jej ani trochę podobna: cicha, poważna, skądś! Wzrost w niej wielką inteligencję. /* cs\

Denis dobrodusznie podkiwał żony:

% 17

. Przestań -c o niej iak o jakimś mesjaszu. Uroczy

t2£Z£Z * • ***** CTmonach w"

soko w górę.

Znacznie później Plectrude ^^^i j^ A nazajutrz, z czystej uprzejmości. „N.cole

trice" Jej wymowa była bezbłędna. a

P^powata .f z"T X cenowe stowo wy-wst ^bwosc» pienia , namystu co nowe magało od mej iy^

wała je palcem Clemence: _ To? - P^a. bardzo smaczny.

"p^tSSJ^ P« godziny kontemplowała Plectrude najp*_P dQ nosa; żeby oce.

^"P^c^nanowo^mowała uwa,

ną obserwację. _ ^erdzał Denis niezado-

- A teraz już wystygło-

Wt BI to nie przeszkadzało. Uznawszy oględziny za M 3 Hadała jedzenie do buzi i

długo smakowa-

zak0ACZ°ne'^ Nœe wygłaszała sądu: ponawiała eks-perymentzdrugi

postępowała tak samo

nSettrXpoYc-ecb próbach 3, ostateczny

werdykt brzmiał: - Niedobre.

18

Zwykle dziecku wystarczy dotknąć jedzenia językiem, żeby od razu wiedziało, że mu nie smakuje. Plectrude jednak chciała mieć pewność.

Podobnie było ze słowami; wszelkie werbalne nowinki zachowywała dla siebie i dopiero przebadawszy je pod każdym możliwym kątem, obwieszczała, najczęściej zupełnie nie na temat i ku ogólnemu zaskoczeniu:

- Żyrafa!

Skąd ta „żyrafa", skoro ubierali się właśnie, żeby pójść na spacer? Przypuszczano, że nie rozumie, co mówi. Ale rozumiała. Tyle tylko, że jej proces myślowy przebiegał w oderwaniu od przyziemnych okoliczności zewnętrznych. Po prostu nagle, w chwili kiedy wkładała płaszcz, jej umysł skończył przetrwanie bezmiaru szyi i nóg żyrafy; musiała więc wymówić tę nazwę po to, by powiadomić innych, że w jej wewnętrznym świecie pojawiła się żyrafa.

- Zauważyłeś, jaki śliczny ma głos? - pytała Clemence.

- A czy znasz dziecko, które by nie miało rozkosznego głosu? - pytał Denis.

- Otóż to! Jej głos jest nie rozkoszny, ale śliczny - odparowywała Clemence.

We wrześnie zapisano ją do przedszkola.

- Za miesiąc skończy trzy lata. Może to trochę za wcześnie?

Nie w tym był jednak problem. Po kilku dniach wychowawczynie oznajmiła Clemence, że nie może zatrzymać Plectrude w przedszkolu.

- Jest jeszcze za mała, prawda?

- Ach, nie o to chodzi. Mam w grupie dzieci młodsze od niej.

19

- Więc dlaczego?

- Z powodu jej spojrzenia.

- Słucham?

- Doprowadza inne dzieci do płaczu tylko dlatego, że uważnie im się przygląda. I muszę powiedzieć, że wcale im się nie dziwię, bo nawet ja, kiedy na mnie patrzy, czuję się nieswojo. Clemence, pękając z dumy, odpowiedziała znajomym, że jej córkę usunięto z przedszkola z powodu oczu. Czegoś podobnego ludzie, jak żyją, jeszcze nie słyszeli.

Zaczęły się szepty:

- Kto to widział, żeby dziecko wyrzucać z przedszkola?
- I to w dodatku z powodu jego oczu!
- Faktem jest, że ta mała ma dziwne spojrzenie.
- Dwie starsze są takie miłe i grzeczne. Ale ta najmłodsza to istny diabeł!

Znali, czy nie znali okoliczności jej urodzenia? Clemence pilnowała się, żeby nie wypytywać o to sąsiadów. Wołała przyjąć za pewnik, że z Plectrude łączy ją pokrewieństwo w linii prostej.

Była uszczęśliwiona, że będzie mogła dłużej z nią przebywać. Rano Denis w drodze do pracy zawoził starszą córkę do szkoły, drugą do przedszkola. Clemence zostawała z najmłodszą sama.

Kiedy tylko za mężem i córkami zamykały się drzwi, ulegała całkowitej metamorfozie.

Przeobrażała się w skrzyżowanie wróżki z czarownicą, a tę metamorfozę wyzwał w niej sam fakt, że miała Plectrude wyłącznie dla siebie.

- Droga wolna. Teraz się przebierzemy.

20

Przebierała się, i to nie tylko w sensie dosłownym, zrzucając zwykłe ubranie i otulając się w bogate materie, w których wyglądała niczym jakaś hinduska królowa, ale też przeobrażała się duchowo z matki i żony w istotę wprost z bajki, obdarzoną niezwykłymi mocami.

Pod uważnym spojrzeniem dziecka dwudziestoosmioletnia kobieta uwalniała tkwiące w niej szesnastoletnią wróżkę i tysiącletnią czarownicę.

Potem ubierała dziewczynkę w strój księżniczki, który w tajemnicy dla niej kupiła. Ujmowała ją za rękę i prowadziła przed wielkie lustro, w którym długo się sobie przyglądały.

- Widzisz, jakie jesteśmy piękne? Plectrude wzdychała uszczęśliwiona.

Wtedy Clemence zaczynała tańczyć, żeby oczarować swoją trzylatkę. Ta, w siódmym niebie, przyłączała się do tańca. Clemence trzymała ją za rączki, a potem nagle chwyciła w talii i podrzucała w górę.

Plectrude aż piszczała z radości.

- Teraz oglądać rzeczy - prosiło dziecko, które znało rytuał.
- Jakie rzeczy? - Clemence udawała, że nie rozumie.
- Rzeczy księżniczki.

Rzeczy księżniczki były przedmiotami, które z tych czy innych względów uznane zostały za nadzwyczajne, cudowne, niezwykle i unikalne - jednym słowem, zasługujące na zachwyt tak znakomitej osoby.

W salonie Clemence rozkładała na wschodnim kobiercu swoją starą biżuterię, wieczorowe klapki z karminowego aksamitu, które dotąd tylko raz włożyła, secesyjne

21

Iorgnon w Złotych oprawkach, srebrną papierośnicę, arabską butelkę z mosiądzu inkrustowanego sztucznymi wprawdzie, ale okazałymi kamieniami, parę białych koronkowych rękawiczek, średniowieczne pierścienie z różnobarwnego plastiku, pochodzące z automatycznego dystrybutora, koronę z połączonej tektury zrobioną na święto Trzech Króli. Powstawał w ten sposób stos różnych różności, cudownych dla nich obu; mrużąc oczy, można je było wziąć za prawdziwy skarb.

Mała z rozchylonymi ustami wpatrywała się w ten korsarski łup. Brała w rączkę każdy z przedmiotów i kontemplowała go z ekstatyczną powagą.

Niekiedy Clemence stroiła ją w całą tę biżuterię, wkładała jej klapki, a potem wręczała binokle i mówiła:

- Idź, zobacz, jaka jesteś piękna. , Dziewczynka z zapartym tchem wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze: między jego złoconymi ramami widziała trzyletnią królową, obwieszoną ozdobami kapłankę, perską narzeczoną idącą do ślubu, pozującą do ikony bizantyjską świętą. W tym niedorzecznym wizerunku odnajdowała siebie.

Kto inny na widok tak fantazyjnie wystrojonego dzieciątka wybuchnąłby śmiechem.

Clemence uśmiechała się, ale si[^] nie śmiała; bardziej od komizmu tej sceny uderzała ją uroda dziewczynki, pięknej jak z obrazków w starych książkach o wrózkach.

„Dzisiejsze dzieci nie są takie piękne” - myślała niemądrze, bo przecież dzieci w dawnych czasach na pewno nie były ładnicjSZe.

Nastawiała „muzykę dla księżniczki” (Czajkowski, Prokofiewa a zamiast obiadu

przygotowywała dziecięcy podwieczQrek: pierniczki, czekoladowe ciasteczka, rożki 22

z jabłkami, migdałowe herbatniki, krem waniliowy, a do picia napój jabłkowy i lemoniadę.

Stawiała te łakocie na stole, rozbawiona i trochę zawstydzona: swoim starszym córkom nigdy by nie pozwoliła żywić się wyłącznie słodyczami. Usprawiedliwiała się jednak przed sobą, że Plectrude to co innego:

- Tak wygląda posiłek dzieci z bajki.

Zaciągała zasłony, zapalała świece i wołała małą. Dziewczynka, skubnąwszy to tego, to tamtego, z szeroko otwartymi oczami przysłuchiwała się opowieściom mamy.

Koło czternastej Clemence przypominała sobie nagle, że za niespełna trzy godziny starsze córki wrócą do domu, a ona nie wykonała jeszcze żadnej ze zwykłych prac matki i żony.

Z powrotem wskakiwała więc w swój codzienny strój, biegła do pobliskiego sklepiku kupić coś konkretnego do jedzenia, po powrocie ogarniała z grubsza mieszkanie, wrzucała do pralki brudną bieliznę, po czym ruszała do szkoły po dzieci. W tym pośpiechu nie zawsze miała czas lub głowę zdjąć z Plectrude przebranie - z tej prostej przyczyny, że w jej oczach przebraniem nie było.

Po ulicy kroczyła zatem młoda, radosna kobieta, prowadząca za rękę maleńką istotkę obwieszoną ozdobami, jakie mało która księżniczka z Tysiąca i Jednej Nocy odważyłaby się założyć.

Pod szkołą widok ten wywoływał rozmaite reakcje: zdumienie, śmiech, zachwyt bądź dezaprobatę.

Nicole i Beatrice wydawały zawsze okrzyk radości, widząc siostrzyczkę w tym dziwnym stroju, jednak niektóre matki głośno i dobitnie wyrażały swoje zdanie:

23

- Co za pomysł, żeby tak ubierać dziecko!

- Przecież to nie zwierzątko cyrkowe!

- Trudno będzie się dziwić, jeśli ta mała kiedyś źle skończy.

- To skandal wykorzystywać własne dzieci, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Ale byli też inni, nie tak niemądrzy, którzy rozczulali się na widok tej niezwyklej zjawy. Jej samej sprawiało to przyjemność, choć z drugiej strony uważała za normalne, że ludzie na nią patrzą, gdyż w lustrze zdążyła już zauważyć, z uczuciem przyjemnego wzruszenia, jaka jest piękna.

W tym miejscu należałoby otworzyć nawias, by zakończyć raz na zawsze ów nazbyt się przeciągający i próżny wstęp. Można by go nazwać encykliką do Arsinoe.

W jednej ze scen Mizantropa Moliera młodą, śliczną i zalotną Celimenę beszta stara i zgorzkniała Arsinoe: zielona z zazdrości, ostrzega ją, by nie cieszyła się aż tak bardzo ze swojej urody. Na co Celimena udziela jej absolutnie zachwycającej odpowiedzi. Niestety, geniusz Moliera na nic się nie przydał, skoro czterysta lat później nadal można usłyszeć te

same moralizatorskie, surowe i kwaśne uwagi, kiedy tylko ktoś niebacznie uśmiechnie się do swego odbicia.

Autorka tych słów nigdy nie odczuwała przyjemności na widok swojego odbicia w lustrze, gdyby jednak dana jej była ta łaska, na pewno nie odmówiłaby sobie tak niewinnej przyjemności.

Słowa te adresowane są do wszystkich Arsinoe świata: co w gruncie rzeczy widzicie w tym złego? Czy te szczęśliwe istoty, radując się własną urodą, szkodzą komukolwiek? Czyż nie umilają raczej naszej smutnej egzystencji, pozwalając nam oglądać swe prześliczne twarze?

24

Autorka nie mówi tu o tych, które swą pozorną urodę uczyniły narzędziem pogardy i wyniosłości, ale o tych, które, zwyczajnie oczarowane swoim wizerunkiem, pragną podzielić się z innymi swą radością.

Gdyby owe Arsinoe z tą samą energią, z jaką złorzeczą Celimenom, spróbowały lepiej wykorzystać atuty swojego wyglądu, stałyby się z pewnością o połowę mniej brzydkie.

Już pod bramą szkoły Arsinoe w różnym wieku czepiały się Plectrude. Ta jednak, jako urodzona Celimena, zupełnie się tym nie przejmowała; obchodzili ją wyłącznie wielbiciele, u których w twarzach wypatrywała oznak zdumienia i zachwyty. Niewinna przyjemność, jaką z tego czerpała, dodatkowo jeszcze podkreślała jej urodę.

Clemence wracała do domu z trójką dzieci. W czasie kiedy starsze odrabiały lekcje lub rysowały, przygotowywała treściwy posiłek - szynka, puree - niekiedy uśmiechając się na myśl o różnicach w sposobie żywienia swojego potomstwa.

Nie można byłoby jej jednak oskarżyć o faworyzowanie - wszystkie trzy córki jednakowo mocno kochała. Tyle że każdą miłością odpowiadającą wyobrażeniu, jakie o nich miała: rozsądną i solidną Beatrice i Nicole, namiętną i feeryczną Plectrude. Co nie przeszkadzało być jej dobrą matką dla całej trójki.

Kiedy dziewczynkę zapytano, co chciałaby dostać na swoje czwarte urodziny, bez cienia wahania odrzekła:

- Baletki.

Delikatny sposób dania do zrozumienia rodzicom, kim zamierza w przyszłości zostać. Nic nie mogłoby bardziej

25

ucieszyć Clemence; jako piętnastolatka oblała egzamin wstępny do corps de ballet Opery i do dziś nie mogła tego przeboleć.

Zapisano Plectrude na lekcje baletu dla debiutujących czterolatek. I nie tylko nie odprawiono jej stamtąd z powodu intensywnego spojrzenia, ale niebawem wręcz wyróżniono.

- Ta mała ma oczy tancerki - stwierdziła profesorka.

- Jak to, oczy tancerki? - zdziwiła się Clemence. - Chyba raczej ciało tancerki, wdzięk tancerki?

- Oczywiście, ma to wszystko. Ale ma też oczy tancerki i proszę mi wierzyć, że jest to rzecz najważniejsza i najrzadziej spotykana. Baletnica, która nie ma takiego spojrzenia, nigdy nie zostanie prawdziwą tancerką.

Jedno było pewne: kiedy Plectrude tańczyła, jej spojrzenie osiągało niesamowitą wprost intensywność. „Odnalazła swoje przeznaczenie” - myślała Clemence.

W wieku lat pięciu dziewczynka nadal nie chodziła do przedszkola. Matka uważała, że uczęszczanie cztery razy w tygodniu na lekcje baletu wystarczy, by ją nauczyć sztuki życia wśród ludzi.

- Tego można się nauczyć tylko w przedszkolu - oponował Denis.

- Czy naprawdę musi wiedzieć, jak się robi wycinanki, korale z pestek i różne plecionki? - pytała jego żona, wznosząc w górę oczy.

Ale tak naprawdę Clemence zależało, by jak najdłużej przebywać z dziewczynką sam na sam. Uwielbiała jej towarzystwo. A lekcje tańca miały tę niewątpliwą przewagę nad przedszkolem, że jej matka mogła w nich uczestniczyć.

26

Przyglądając się wirującej córce, z dumą i euforią myślała: „Ma talent ta moja dziecina”. W porównaniu z Plectrude inne dziewczynki sprawiały wrażenie brzydkich kaczątek. Często po skończonej lekcji profesorka podchodziła do niej, mówiąc:

- Powinna to kontynuować. Jest nadzwyczajna. Clemence wracała z córką do domu, powtarzając jej

komplementy, które usłyszała. Plectrude przyjmowała je z wdziękiem diwy.

- Ostatecznie przedszkole nie jest obowiązkowe - skwitował sytuację Denis z fatalizmem mężczyzny zniewolonego.

Ale zerówka już niestety była obowiązkowa. W sierpniu, kiedy mąż szykował się, by zapisać do niej Plectrude, Clemence zaprotestowała:

- Przecież ona ma dopiero pięć lat!

- W październiku skończy sześć.

Tym razem nie ustąpił, i tak pierwszego września zawieźli do szkoły nie dwie, lecz trzy dziewczynki.

Zresztą najmłodsza wcale nie protestowała. Była nawet dumna, że założy tornister. Podczas rozpoczęcia roku szkolnego można było zaobserwować nietypową scenkę: to matka płakała, rozstając się ze swym dzieckiem.

Plectrude szybko przeżyła rozczarowanie. To wszystko bardzo się różniło od lekcji tańca.

Trzeba było godzinami siedzieć i się nie ruszać. Trzeba było przysłuchiwać się pani, której słowa nie miały w sobie nic interesującego.

Nadeszła przerwa. Plectrude pobiegła na boisko, żeby poskakać, bo jej biedne nóżki nie mogły dłużej wytrzymać pozostawania w bezruchu.

27

W tym czasie inne dzieci, w większości znające się już z przedszkola, bawiły się razem. Coś sobie opowiadały. Plectrude zastanawiała się co.

Podeszła, żeby posłuchać. Była to nieprzerwana kakofonia niezliczonej ilości głosów, których nie potrafiła przypisać konkretnym dzieciom; mówiło się o nauczycielce, o wakacjach, o niejkiej Magali, o gumkach do włosów; różne daj mi batonik, a Magali to moja koleżanka, zamknij się, jesteś idiotą, auuu! to nie twoje kredki, dlaczego nie jestem w tej samej klasie co Magali, przestań, nie będziemy się z tobą bawiły, powiem pani, o! donosicielka! i tylko mnie nie popychaj, Magali woli mnie od ciebie, a zresztą masz brzydkie buty, przestań już, dziewczynki są głupie, dobrze, że nie jestem w twojej klasie, a Magali...

Plectrude zdjęta grozą uciekła.

Poza tym trzeba było słuchać pani. To, co mówiła, nie zawsze było ciekawe, lecz przynajmniej bardziej składne od paplaniny dzieci. Dałoby się wytrzymać, gdyby nie ten przymus siedzenia w bezruchu. Na szczęście było okno.

- Teraz ty!

Ponieważ cała klasa pokładała się ze śmiechu, przy piątym „Teraz ty!” do Plectrude dotarło, że to słowa kierowane do niej, obrzuciła więc zgromadzonych zdumionym spojrzeniem.

- Długo trwało, zanim zareagowałaś! - powiedziała nauczycielka.

Wszystkie dzieci odwróciły się, żeby popatrzeć na koleżankę przyłapaną na gorącym uczynku. Było to bardzo nieprzyjemne uczucie. Mała tancerka zastanawiała się, na czym polega jej przewina.

- Masz patrzeć na mnie, a nie przez okno! - poinformowała ją kobieta.

28

Trudno było cokolwiek na to odpowiedzieć, więc milczała.

- Mówi się: „Tak, proszę pani”.
- Tak, proszę pani.
- Jak ci na imię? - zapytała nauczycielka z miną mówiącą: „Już ja cię będę miała na oku!”.
- Plectrude.
- Słucham?
- Plectrude - powtórzyła wyraźnie.

Dzieci były jeszcze za małe, żeby dotarła do nich nieby-wołość takiego imienia. Nauczycielka jednak wytrzeszczyła oczy, sprawdziła w dzienniku, po czym stwierdziła:

- Cóż, jeśli chciałaś być za wszelką cenę oryginalna, to ci się udało.

Tak jakby Plectrude sama wybrała to imię.

„Bzdury! - pomyślała dziewczynka. - To raczej ona próbuje być oryginalna. Najlepszy dowód, że się denerwuje, kiedy się na nią nie patrzy. Chciałaby, żeby inni zwracali na nią uwagę, tymczasem jest taka nieciekawa!”.

Ale ponieważ pani była tu szefem, Plectrude zrobiła, co kazała. Wlepiła w nią swoje wielkie oczy. Nauczycielkę wyprowadzało to z równowagi, nie odważyła się jednak protestować, w obawie, by nie wydawać sprzecznych poleceń.

Ale najgorsze zdarzyło się podczas przerwy obiadowej. Uczniów zaprowadzono do wielkiej jadalni, w której unosił się charakterystyczny zapaszek dziecięcych wymiotów i środków dezynfekcyjnych.

Kazano im siadać przy stołach po dziesięcioro. Plectrude nie wiedziała, przy którym ma usiąść, zamknęła

29

więc oczy, żeby nie musieć wybierać. Fala zaniósła ją do stołu z dziećmi zupełnie jej obcymi. Potem panie z obsługi przyniosły półmiski o bliżej niezidentyfikowanej zawartości i kolorze. Spanikowana Plectrude nie mogła się przełamać, żeby te obce ciała nałożyć na swój talerz. Obsłużono ją więc bez pytania o zdanie; stanęła przed nią miska wypełniona zielonkawą papką z małymi kawałkami brunatnego mięsa.

W duchu zadawała sobie pytanie, czym zasłużyła na tak okrutny los. Dotąd jej obiady przypominały bajkę: przed odciętą od świata zewnętrznego tapetami z czerwonego aksamitu dziewczynką, przy świetle świec i dźwiękach niebiańskiej muzyki, jej piękna mama ubrana w strojne szaty stawiała ciastka i kremy, których ona nawet nie musiała jeść.

Tymczasem tutaj, pośród wrzawy tych paskudnych i brudnych dzieciaków, w sali, w której tak dziwnie pachniało, zrzucono jej na talerz jakąś zieloną breję, dając przy tym do zrozumienia, że nie wyjdzie, dopóki wszystkiego nie zje.

Choć oburzona na taką niesprawiedliwość losu, postawiła sobie za punkt honoru opróżnienie miski. Było to obrzydliwe. Zupełnie nie do przełknięcia. W połowie posiłku zwymiotowała na talerz i wtedy zrozumiała, skąd bierze się ów zapaszek.

- Fuj, jesteś wstrętna! - wołały dzieci.

Podeszła obsługująca i z westchnieniem: „O, mój Boże!” sprzątnęła miskę.

Ale przynajmniej tego dnia Plectrude nie musiała już nic jeść.

30

Po tym koszmarze trzeba było znów słuchać pani, która tak nieudolnie próbowała zainteresować sobą dzieci, pokrywając czarną tablicę kombinacjami kresek, w dodatku niezbyt ładnych.

W końcu o wpół do piątej pozwolono Plectrude opuścić to miejsce równie niedorzeczne, co obrzydliwe. Ujrzawszy przy bramie szkolnej mamę, co sił popędziła do niej jak po wybawienie.

Clemence wystarczyło jedno spojrzenie, by domyślić się, ile wycierpiało jej dziecko. Tuląc je w ramionach, szeptała słowa otuchy:

- No, już dobrze, już po wszystkim.

- Naprawdę? - w głosie małej zabrzmiała nadzieja. - To już więcej tu nie przyjdę?
- Przyjdiesz. Będziesz musiała. Ale się przyzwyczaisz. A wtedy przygnębiona Plectrude zrozumiała, że życie człowieka to nie tylko zabawa.

Nie przyzwyczaiła się. Szkoła była gehenną i gehenną pozostała.

Na szczęście miała jeszcze lekcje tańca. Tak jak to, czego uczyła pani, było bezużyteczne i brzydkie, tak to, czego uczył profesor tańca, było pożyteczne i piękne.

Rozbieżność ta zaczynała nastęrczać pewne problemy. Po upływie kilku miesięcy większość dzieci w klasie potrafiła już sylabizować i pisać litery. Plectrude jednak uznała, jak się zdaje, że jej te sprawy nie dotyczą; kiedy przychodziła kolej na nią i pani pokazywała literę wypisaną na tablicy, wymawiała jakiś dźwięk na chybił trafił, zawsze chybiając, z aż nazbyt widocznym brakiem zainteresowania.

31

W końcu nauczycielka wezwała do siebie rodziców nieuka. Denisowi było wstyd; Nicole i Beatrice były dobrymi uczennicami; nie przywykł do tego typu upokarzających sytuacji. Ale Clemence w cichości ducha czuła jakąś dumę; zdecydowanie jej mała buntowniczką niczego nie robiła tak jak inni.

- Jeśli tak dalej pójdzie, będzie musiała powtarzać zerówkę! - oznajmiła złowieszczym tonem nauczycielka.

Matka szeroko otworzyła pełne podziwu oczy. Dziecko powtarzające zerówkę - o czymś takim jeszcze nie słyszała. Wydało jej się to czymś niezwykle błyskotliwym, śmiałym, zuchwale arystokratycznym. Które dziecko stać by było na to, żeby powtarzać zerówkę? Tam, gdzie nawet największe miernoty jakoś sobie radziły, jej córka już teraz buńczucznie potwierdzała swoją odmienność, co więcej, swoją wyjątkowość!

Denis był jednak innego zdania:

- Zrobimy, co w naszej mocy, proszę pani! Zajmiemy się tym!

- Czy da się jeszcze uniknąć powtarzania klasy? - w pytaniu Clemence zabrzmiała nadzieja, którą tamci opacznie sobie zinterpretowali.

- Naturalnie. O ile tylko zdoła opanować alfabet przed końcem roku.

Mama Plectrude nie okazała po sobie, jak bardzo jest zawiedziona. To byłoby zbyt piękne, żeby miało być prawdziwe!

- Opanuje - zapewnił Denis. - To zresztą dziwne, bo przecież sprawia wrażenie takiej inteligentnej.

- Bardzo możliwe, proszę pana. Problem jednak w tym, że to jej nie interesuje.

32

„To jej nie interesuje! - podchwyciła Clemence. - Nadzwyczajne! Nie interesuje jej! Kiedy inne dzieci bez szemrania przelykają wszystko, moja Plectrude już teraz dokonuje selekcji i sama decyduje, co jest interesujące, a co nie!”.

- To mnie nie interesuje, tatusiu.

- Przecież nauka czytania jest interesująca! - obruszył się Denis.

- Dlaczego?

- Bo można sobie potem czytać różne historie.

- Też mi coś! Pani czyta nam czasami różne historie z podręcznika lektur. Są tak beznadziejne, że po dwóch minutach już ich w ogóle nie słucham.

Clemence w duchu przyklasnęła córce.

- To zamierzasz powtarzać zerówkę? O to ci chodzi? - zdenerwował się Denis.

- Zamierzam zostać tancerką.

- Nawet żeby zostać tancerką, będziesz musiała skończyć zerówkę.

Nagle do Clemence dotarło, że jej mąż ma rację. Niezwłocznie przystąpiła więc do działania. Poszła do sypialni i przyniosła olbrzymią księgę z ubiegłego wieku.

Posadziła sobie małą na kolanach i razem zaczęły, strona za stroną, powoli i z namaszczeniem, kartkować zbiór baśni. Nie próbowała ich czytać, poprzestawała na pokazywaniu jej przepięknych ilustracji.

Dla dziecka był to szok; jeszcze nigdy nie doświadczyła takiego zachwyty jak teraz, kiedy odkrywała księżniczki zbyt niezwykle, by stąpać po ziemi; uwięzione w wieży, rozmawiały z ptakami, które okazywały się zaklętymi

33

książkami, lub też przebierały się za pomywaczki, by cztery strony dalej pojawić się znowu, jeszcze piękniejsze niż przedtem.

Od razu wiedziała, z tą pewnością daną jedynie małym dziewczynkom, że pewnego dnia ona również stanie się jedną z tych istot, za sprawą których żaby popadają w melancholię, czarownice stają się jeszcze bardziej odstręczające, księżęta zaś kompletnie tracą głowę.

- Nie denerwuj się - powiedziała Clemence do Denisa. - Przed upływem tygodnia będzie czytała.

Prognoza okazała się na wyrost; już dwa dni później umysł Plectrude, czyniąc pożytek z nudnych i niepotrzebnych liter, których na lekcjach, jak się zdawało, zupełnie nie przyswajał, odkrył związek między znakami, dźwiękami i znaczeniem. Po dwóch dniach czytała sto razy płynniej od najlepszych uczniów w klasie. Istnieje bowiem tylko jeden klucz do zdobycia wiedzy: motywacja.

Zbiór baśni uznała za poradnik podpowiadający, co należy robić, by stać się taką księżniczką z obrazka. A ponieważ umiejętność czytania była jej obecnie potrzebna, więc jej inteligencja ją przyswoiła.

- Że też nie pokazałaś jej tej książki wcześniej - entuzjazmował się Denis.

- Te bajki to prawdziwy skarb. Nie chciałam go zmarnować, odkrywając zbyt wcześnie.

Musiała osiągnąć wiek, w którym potrafi się docenić dzieło sztuki.

Dwa dni później nauczycielka stwierdziła, że stał się cud; klasowy tuman, jedyny, który nie potrafił dotąd

34

zidentyfikować ani jednej litery, czytał płynnie jak dziesięcioletnia prymuska.

Plectrude w dwa dni nauczyła się tego, czego profesjonalistka nie zdołała jej nauczyć w pięć miesięcy. Nauczycielka pomyślała, że pewnie jej rodzice znają jakąś tajemniczą metodę, więc do nich zadzwoniła. Denis, nie posiadając się z dumy, powiedział jej, jak wygląda prawda:

- Nie zrobiliśmy zupełnie nic. Pokazaliśmy jej tylko książkę na tyle piękną, żeby sama nabrała ochoty na czytanie. Tego jej właśnie brakowało.

W naiwności swej ojciec Plectrude nieświadom był, jak wielką popełnia gafę.

Od tej pory nauczycielka, która i tak nie przepadała za Plectrude, szczerze ją znienawidziła.

Mało, że uznała ów cud za osobiste upokorzenie, ale też poczuła do dziewczynki tę antypatię, jaka w ludziach przeciętnego ducha budzi się w zetknięciu z inteligencją wyższą: „Panience uroiło się, że książka musi być piękna! Jeszcze czego! Dla innych dzieci jest wystarczająco piękna!”.

Zdezorientowana i wściekła przeczytała raz jeszcze od deski do deski inkryminowane czytanki. Opisywały one codzienne życie pewnego wesołego chłopczyka imieniem Thierry oraz jego starszej siostry Micheline, która robiła mu kanapki na podwieczorek, nie pozwalając, żeby psocił, była bowiem rozsądna.

- Przecież to urocze! - zawołała, skończywszy lekturę. - Takie świeże, śliczne! Czego ta smarkata jeszcze chce?

Chciała złota, mirry i kadzidła, purpury i lili, usianych gwiazdami aksamitów barwy nocnego nieba, rycin Gustave'a Dore, dziewczynek o pięknych, poważnych

35

oczach i o ustach bez uśmiechu, niebezpiecznie uwodzicielskich wilków i zaklętych lasów - wszystkiego, byle nie podwieczorków Thierry'ego i jego starszej siostry Micheline. Nauczycielka nie przepuściła żadnej okazji, by okazać Plectrude, jak bardzo jej nie cierpi. Ponieważ dziewczynka wciąż była najgorsza z rachunków, nazywała ją „wypadkiem beznadziejnym”. Pewnego dnia, gdy ta nie potrafiła wykonać elementarnego dodawania, pani odesłała ją na miejsce ze słowami:

- Choćbyś na głowie stawała, i tak się nie nauczysz.

Uczniowie zerówki byli jeszcze w tym wieku uległości, kiedy to dorosły ma zawsze rację i jakikolwiek protest jest nie do pomyślenia. Plectrude była więc obiektem powszechnego lekceważenia.

Zgodnie z tą samą logiką na lekcjach baletu brylowała. Profesorka rozpyływała się w zachwytach nad jej talentem i, nie odważając się wyrazić tego słowem (byłoby to niepedagogiczne wobec reszty dzieci), uważała ją za najlepszą uczennicę, jaką kiedykolwiek miała. Skutkiem tego inne dziewczynki uwielbiały Plectrude i przepychały się łokciami, byle jak najbliżej niej tańczyć.

Tym sposobem prowadziła dwa oddzielne życia. Życie w szkole, gdzie była sama przeciwko wszystkim, i życie na lekcjach baletu, gdzie była gwiazdą.

Zachowała jednak dość trzeźwości, by zdawać sobie sprawę, że gdyby koleżanki z baletu chodziły z nią do tej samej klasy, może pierwsze okazałyby jej lekceważenie. Z tego też powodu zachowywała rezerwę wobec tych wszystkich, które próbowały zdobyć jej przyjaźń - co tylko potęgowało uwielbienie małych baletnic.

36

Mocno przyłożywszy się do rachunków pod koniec roku, z wielkim trudem zaliczyła zerówkę. W nagrodę rodzice sprezentowali jej drążek ścienny, tak żeby mogła wykonywać ćwiczenia przed wielkim lustrem. Ćwiczyła przez całe wakacje i pod koniec sierpnia potrafiła już ująć stopę nad głową.

Z początkiem nowego roku szkolnego czekała ją niespodzianka: skład jej klasy pozostał taki sam jak w roku ubiegłym, z jednym oczywistym wyjątkiem. Przyszła nowa uczennica.

Nie znał jej nikt oprócz Plectrude, gdyż była to Rose-lyne, jej koleżanka z lekcji baletu.

Roselyne, nie posiadając się ze szczęścia, że znalazła się w tej samej klasie co jej idolka, zapytała nauczycielkę, czy może usiąść z nią w jednej ławce. Ponieważ jak dotąd nikt jeszcze nie starał się o to miejsce, dostała pozwolenie.

Dla Roselyne Plectrude przedstawiała sobą skończony ideał. Potrafiła godzinami wpatrywać się w tę niedoścignioną boginkę, która cudownym zrzędzeniem losu została jej koleżanką z klasy.

Plectrude zadawała sobie pytanie, czy to uwielbienie przetrwa w obliczu odkrycia jej niepopularności w szkole. Pewnego dnia, kiedy nauczycielka znów wytknęła jej słabość w rachunkach, dzieci zaczęły głupio i złośliwie dogadywać koleżance. Roselyne, bardzo tym oburzona, zapytała tę, z której szydzono:

- Widziałaś, jak cię potraktowały? Przyzwyczajony do tego klasowy matol wzruszył ramionami. To tylko wzmogło podziw Roselyne, która oznajmiła:

- Nienawidzę ich.

Wtedy Plectrude zrozumiała, że zyskała przyjaciółkę.

37

To odmieniło jej życie.

Czym wytłumaczyć ów wielki prestiż, jakim cieszy się przyjaźń wśród dzieci? Dzieciom wydaje się, skądinąd niesłusznie, że obowiązkiem rodziców i rodzeństwa jest je kochać.

Nawet im do głowy nie przyjdzie, że można by poczytać dorosłym za zasługę rzecz będącą w ich przekonaniu naturalną konsekwencją ich misji. Typową odzywką dziecka jest: „Kocham go, bo to mój brat (mój ojciec, moja siostra)... Tak być musi”.

Natomiast przyjaciel w oczach dziecka to ktoś, kto sam je wybrał. Przyjacielem jest ktoś, kto ofiaruje dziecku to, czego wcale nie musi ofiarowywać. Stąd dla dziecka przyjaźń to luksus najwyższy - a luksus jest czymś, czego szlachetne duszyczki pożądają najgoręcej. Przyjaźń uzmysławia dziecku, czym jest bogactwo istnienia. Po powrocie do domu Plectrude obwieściła uroczyście:

- Mam przyjaciółkę.

Po raz pierwszy z jej ust padły takie słowa. Zrazu Clemence poczuła ukłucie w sercu. Szybko jednak zdołała przemówić sobie do rozsądku; jakkolwiek konkurencja między nią a intruzem nie wchodzi w rachubę. Przyjaciele mają to do siebie, że się zmieniają. Matka jest tylko jedna.

- Więc zaprosz ją na kolację - zaproponowała córce. Plectrude z przestachem wytrzeszczyła oczy:

- A po co?

- Jak to: po co? Po to, żeby ją nam przedstawić. Chcielibyśmy poznać twoją przyjaciółkę.

Tym sposobem dziewczynka dowiedziała się, że jeśli chce się kogoś poznać, zaprasza się go na kolację. Wydało jej się to niepokojące i niedorzeczne; czyżby widząc ludzi w trakcie jedzenia, poznawało się ich bliżej? JeśU tak, to lepiej nawet nie myśleć, jaką opinię muszą mieć o niej w szkole, gdzie jadalnia była dla niej miejscem tortur i wymiotów.

Pomyślała, że gdyby ona chciała poznać kogoś lepiej, zaprosiłaby go do wspólnej zabawy.

Czyż to nie w trakcie zabawy ludzie najbardziej się odkrywają?

Niemniej jednak Roselyne została zaproszona na kolację, gdyż tak było przyjęte w świecie dorosłych. Wszystko wypadło bardzo dobrze. Plectrude z niecierpliwością czekała na

zakończenie oficjalnej części wizyty; wiedziała, że przyjaciółka zostanie u niej na noc, i myśl

o tym napawała ją zachwytem.

Nareszcie zgasło światło.

- Boisz się ciemności? - zapytała z nadzieją w głosie.

- Tak - odparła Roselyne.

- A ja nie.

- W ciemnościach jawią mi się przed oczami różne przerażające stwory.

- Mnie też, ale ja to lubię.

- Lubisz na przykład smoki?

- Tak! I nietoperze też.

- Nie boisz się ich?

- Nie, ponieważ to ja jestem ich królową.

- Skąd wiesz?

- Bo tak postanowiłam.

Roselyne uznała, że to fantastyczna odpowiedź.

- Jestem królową wszystkiego, co można zobaczyć w nocy: meduz, krokodyli, węży, pajaków, rekinów, dinozaurów, skorków, ośmiornic.

- I się ich nie brzydzisz?

39

r- Nie. Uważam, że są piękne.

r- To znaczy, że niczego się nie brzydzisz?

- Brzydę. Suszonych fig.

- Przecież suszone figi wcale nie są obrzydliwe!

- A tyje jadasz?

- Oczywiście.

- No to więcej ich nie jedz, jeśli mnie lubisz.

- Ale czemu?

- Bo sprzedawczynie najpierw je żują, a potem z powrotem wkładają do opakowania.

- Co ty opowiadasz?
 - To dlaczego twoim zdaniem są takie zgniecione i brzydkie?
 - Mówisz prawdę?
 - Przysięgam. Sprzedawczynie je żują, a potem wypływają.
 - Fuj!
 - No widzisz! Suszone figi są czymś najbrzydliwszym w świecie.
- Napawały się tym wspólnym wstrętem, dzięki któremu poczuły się jak w siódmym niebie. Długo i szczegółowo opisywały obrzydliwość tych suszonych owoców, aż piszcząc z radości.
- Przysięgam, że już nigdy nie wezmę ich do ust - oświadczyła uroczyście Roselyne.
 - Nawet jak cię będą torturować?
 - Nawet jak mnie będą torturować.
 - A jeśli wepchną ci je siłą do ust?
 - To przysięgam, że wtedy zwymiotuję! - oznajmiła dziewczynka głosem panny młodej.
- T^o noc wyniosła ich przyjaźń do rangi tajemnego obrzędu.

40

W klasie status Plectrude zmienił się. Z pozycji wyrzutka przeszła na pozycję uwielbianej najbliższej przyjaciółki. Gdyby stała się obiektem adoracji podobnego dziwadła co ona, klasa mogłaby ją nadal bojkotować. Ale w oczach dzieci Roselyne była pod każdym względem w porządku. Jedyna jej wada, to, że jest nowa, stanowiła ułomność co najwyżej przejściową. Powstało więc pytanie, czy przypadkiem nie pomylili się co do samej Plectrude.

Nigdy, rzecz jasna, na ten temat nie dyskutowano; podobne refleksje jedynie zaświtały w zbiorowej podświadomości klasy. By tym większy odnieść skutek.

Oczywiście, Plectrude nadal pozostawała matosem z rachunków oraz z innych przedmiotów. Dzieci jednak odkryły, że słabość w pewnych dziedzinach, zwłaszcza jeśli sięga granic ekstremum, ma w sobie coś wspaniałego i heroicznego. Powoli zaczynały odkrywać uroki tej formy dywersji.

Do nauczycielki zdawało się to nie docierać.

Ponownie wezwała do siebie rodziców.

- Jeśli państwo pozwolicie, poddamy wasze dziecko testom.

Trudno było się nie zgodzić. Denis odczuł to jako głębokie upokorzenie; jego córkę uznano za upośledzoną. Za to Clemence nie posiadała się ze szczęścia: Plectrude nie mieściła się w przyjętej normie. Nawet odkrycie, że mała jest niedorozwinięta umysłowo, uznałaby za dowód, że jest wybranką losu.

Dziecko poddane więc zostało próbie rozmaitych ciągów logicznych, ukrytych wyliczanek, figur geometrycznych z niewiadomą, działań pompatycznie określanych

41

jako algorytmy. Plectrude udzielała odpowiedzi na chybił trafił, jak najszybciej, tłumiąc nieodpartą chęć wybuchnięcia śmiechem.

Czy był to skutek przypadku czy braku namysłu? Przecież wynik, który uzyskała, był tak znakomity, że wprost zatrzważający. Tym sposobem w ciągu jednej godziny zmieniła status z głupola na geniusza.

- Wcale mnie to nie dziwi - skwitowała jej matka, zirytowana zachwytem męża.

Owa zmiana terminologii niosła z sobą wymierne korzyści, czego nie omieszkła zauważyć dziewczynka. Przedtem, gdy nie radziła sobie z jakimś ćwiczeniem, nauczycielka przyglądała jej się ze zniechęceniem, a co złośliwsze dzieci z niej drwiły. Teraz, kiedy nie potrafiła dokończyć jakiegoś prostego działania, pani wpatrywała się w nią, jakby była albatrosem Baudelaire'a, któremu niesamowita inteligencja uniemożliwia rachowanie, a reszcie klasy było trochę wstyd, że tak idiotycznie uzyskała rozwiązanie.

Jednak będąc prawdziwie inteligentną, Plectrude zachodziła w głowę, jak to możliwe, żeby ona, która nie potrafi poradzić sobie z najprostszymi działaniami matematycznymi, na testach

rozwiązała poprawnie wszystkie te przerastające ją zadania. Aż nagle przypomniała sobie, że podczas sprawdzianu kompletnie się nie zastanawiała nad odpowiedziami, z czego wniosek, jak uznała, że tajemnica jej sukcesu tkwi w absolutnej bezmyślności.

Od tej pory, gdy musiała rozważać jakieś zadanie, pilnowała się, żeby nie myśleć i zapisywać pierwsze z brzegu cyfry, jakie jej przyjdą do głowy. Nie polepszyła tym

42

swoich wyników, ale też i nie pogorszyła. Postanowiła więc pozostać przy tej metodzie, która, choć równie mało skuteczna jak poprzednia, pozostawiała jej przynajmniej całkowitą swobodę. W ten sposób stała się najbardziej poważanym nieukiem w całej Francji.

I wszystko byłoby pięknie, gdyby nie nudne formalności pod koniec każdego roku szkolnego, decydujące o tym, którzy szczęśliwcy przejdą do następnej klasy.

Okresy te były koszmarem dla Plectrude, aż nazbyt świadomej, jak wielką rolę w tych przepychankach odgrywa przypadek. Szczęśliwie dla niej, poprzedzała ją opinia geniusza; widząc beznadziejność jej dokonań z matematyki, nauczyciel przyjmował, że dziecko ma być może rację w jakimś innym wymiarze, i odpuszczał sprawę. Lub też chciał się dowiedzieć, jakim torem przebiega jej rozumowanie, jednak to, co w odpowiedzi słyszał, odbierało mu mowę ze zdumienia. Plectrude wypracowała sobie mimikę, którą ludzie brali za sposób ekspresji małego geniusza. Na przykład, kończąc jakiś bełkotliwy wywiad, klarownie oświadczała: „To przecież oczywiste”.

Dla jej nauczycieli i nauczycielek wcale takie oczywiste nie było. Woleli się tym jednak nie przechwalać i udzielali uczniom swojego nihil obstat.

Geniusz czy nie geniusz, dziewczynkę pasjonowało tylko jedno: taniec.

Im była starsza, tym większy zachwyt wzbudzała wśród profesorów swym talentem.

Posiadała wirtuozerie

43

i wdzięk, dokładność i fantazję, wesołość i zmysł tragizmu, precyzję i spontaniczność.

Co więcej, czuło się, że tańcząc, jest szczęśliwa - cudownie szczęśliwa. Czuło się, z jaką rozkoszą oddaje swoje ciało we władanie niespożytej energii tańca. Tak jakby jej dusza od tysięcy lat tylko na to czekała. Ewolucje taneczne zdawały się ją uwalniać od jakiegoś tajemniczego, wewnętrznego napięcia.

Ponadto widać było, że na wycucie dramaturgii spektaklu; obecność widzów dodatkowo wzmacniała jej talent i im uważniej ją obserwowano, tym większej intensywności nabierały jej ruchy.

I był też ten, wciąż obecny w jej życiu, cud szczupłości. Plectrude zawsze była chuda i nadal zachowywała chudość godną egipskich płaskorzeźb. Swoją zwiewnością rzucała wyzwanie sile ciężenia.

I wreszcie wszyscy profesorowie, choć nigdy z sobą o tym nie rozmawiali, powtarzali jedno: - Ma oczy tancerki.

Wydawało się czasami Clemence, że nad kołyską jej córki zebrało się zbyt wiele wróżek; bała się, by w końcu nie ściągnęło to na nią gniewu niebios.

Na szczęście stosunki jej własnego potomstwa z cudowną siostrzyczką układały się bezkonfliktowo. Plectrude nie zapuszczała się na tereny będące domeną starszych: Nicole była prymuską z biologii i wuefu, Beatrice przejawiała uzdolnienia matematyczne i smykałkę do historii. Najmłodsza, niewykluczone, że powodowana jakąś instynktowną dyplomacją, była z tych przedmiotów beznadziejna - nawet na gimnastyce taniec w niczym jej nie pomagał.

44

Dlatego też Denis zwykł przydzielać każdej z córek po jednej trzeciej dostępu do wszechświata: „Nicole będzie uczoną i sportsmenką; kto wie - może nawet kosmonautką? Beatrice będzie intelektualistką z głową pełną cyfr i faktów; zajmie się statystyką historyczną.

A Plectrude jest artystką o wielkiej charyzmie; zostanie więc tancerką lub polityczną liderką, albo tym i tym jednocześnie".

I kwitował swoje prognozy wybuchem śmiechu, w którym nie było zwątpienia, a jedynie duma. Dzieci słuchały go chętnie i z przyjemnością, gdyż to, co mówił, im schlebiało; najmłodsza jednak nie mogła się oprzeć uczuciu pewnego zmieszania, tak wobec tych podziałów, które uważała za wrogie wiedzy, jak wobec rodzicielskiej pewności siebie. To nic, że miała tylko dziesięć lat i wcale nie była nad wiek dojrzała, i tak rozumiała jedną ważną rzecz: że ludzie na tej ziemi nie dostają tego, co w ich mniemaniu im się należy. Skądinąd dziesięć lat to najmiłszy okres w życiu człowieka. A tym bardziej małej baletnicy opromienionej nimbem swej sztuki.

Dziesięć lat to najjaśniejsza chwila dzieciństwa. Na horyzoncie nie widać jeszcze żadnych zwiastunów wieku młodzieńczego; jest tylko dzieciństwo w całej swej dojrzałości, bogate długim już doświadczeniem, lecz jeszcze wolne od tego poczucia straty, jakie dochodzi do głosu wraz z pierwszymi oznakami dojrzewania. W wieku lat dziesięciu niekoniecznie jest się szczęśliwym, ale siłą rzeczy jest się żywym, żywszym od wszystkich innych.

45

Dziesięcioletnia Plectrude była kłębkim intensywnej żywotności. Znajdowała się u szczytu swego panowania. Królowała w szkole tańca, gdzie była niekwestionowaną gwiazdą we wszystkich kategoriach wiekowych. Królowała w siódmej klasie, której groziło, że zamieni się w mato-łokrację, zważywszy, że najgorsza z matematyki, fizyki i chemii, historii, geografii, wuefu itd. uczennica uchodziła w niej za geniusza. iKrólowała w sercu swojej matki, całkowicie zaślepionej na JeJ punkcie. I w sercu Roselyne, która ją po równi kochała i wielbiła.

Sukces nie przewrócił Plectrude w głowie. Niezwykła pozycja, jaką się cieszyła, nie zrobiła z niej jednej z tych przemądrzałych dziesięciolatek, które uważają, że reguły przyjaźni ich nie dotyczą. Żywiła wobec Roselyne tyleż sarno oddania i uwielbienia, co Roselyne dla niej. Niejasne przecucie zdawało się ją jednak ostrzegać, że może utracić swój tron. Lęk o tyle uzasadniony, że dobrze pamiętała czasy, kiedy była klasowym pośmiewiskiem.

Roselyne i Plectrude wielokrotnie już wychodziły za mąż; najczęściej za siebie, ale niekoniecznie. Mogło zdarzyć się też i tak, że poślubiły kolegę z klasy, którego reprezentowała podczas tego bajkowego obrzędku jego ektoplazma, raz przybierająca postać wachlarza z jego wizerunkiem, innym razem postać Roselyne lub Plectrude przebranych za mężczyznę - do której to zmiany płci wystarczał zwykły cylinder.

W gruncie rzeczy osoba pana młodego była bez znaczenia. Nadawał się do tej roli właściwie każdy osobnik, rzeczywisty bądź wymyślony, o ile tylko nie posiadał

46

jakichś wyraźnych ułomności (typu łańcuszek na przegubie, falset czy skłonność do zaczynania wypowiedzi od „No więc...”). Głównym celem zabawy było zainscenizowanie tańca weselnego, rodzaju komedii baletowej, godnej Lully'ego, ze śpiewami, których improwizowane teksty były niezwykle dramatyczne.

Nieuchronną koleją rzeczy po zbyt krótkiej nocy poślubnej mąż zamieniał się w ptaka albo żabę, żona zaś lądowała w wysokiej wieży pilnowana przez nieznośną służbę.

- Czemu to się zawsze tak źle kończy? - zapytała kiedyś Roselyne.

- Bo tak jest o wiele piękniej - zapewniła ją Plectrude.

Tej zimy tancerka wymyśliła nową, cudownie heroiczną zabawę; polegała ona na tym, żeby stojąc bez ruchu i całkowicie bezwolnie, pozwolić się zasypać przez padający śnieg.

- Ulepienie bałwana to zbyt proste. Powinniśmy same, stojąc na śniegu, stać się bałwanami albo położyć się w ogrodzie i zamienić w śnieżny posąg nagrobny.

Roselyne popatrzyła na nią z podziwem zabarwionym sceptycyzmem.

- Ty będziesz udawała bałwana, a ja posąg - zdecydowała Plectrude.

Przyjaciółka nie śmiała zgłosić zastrzeżeń. Udały się więc obie do ogrodu, gdzie jedna stanęła, a druga wyciągnęła się jak długa na ziemi. Roselyne jednak zabawa szybko przestała się podobać; było jej zimno w nogi, miała ochotę się ruszać, natomiast absolutnie nie miała chęci zamienić się w żywy pomnik, a w dodatku nudziła się, ponieważ

47

dziewczynkom, jak przystało na prawdziwe posągi, nie wolno było się odzywać.

Ale ta, która spoczywała na ziemi, była nieziemsko szczęśliwa. Miała oczy szeroko otwarte niczym zmarli, zanim zajmą się nimi osoby trzecie. Wyciągnąwszy się na ziemi, opuściła swoje ciało, odcięła od uczucia przejmującego zimna i fizycznego strachu o własną skórę.

Teraz była już tylko twarzą wydaną na działania sił przyrody.

Swoją dziesięcioletnią kobiecość także odrzuciła, nie dlatego, że jej zawadzała; spoczywająca na ziemi statua zachowała minimum własnego ja po to, by stawić jak najmniej oporu sinobiałej inwazji.

Szeroko otwartymi oczami chłonęła najbardziej fascynujący spektakl świata: białą, roztańczoną śmierć, zsyłaną na nią przez wszechświat w postaci fragmentów układanki, części zamiennych jakiejś niezgłębionej tajemnicy.

Czasami zerknęła na swoje ciało, które szybciej niż twarz okrywało się śnieżnym całunem, ponieważ ubranie zatrzymywało emanujące z niego ciepło. A potem jej wzrok wędrował z powrotem ku chmurom; policzki powoli schładzały się i już wkrótce całun mógł zarzucić na nie swe pierwsze zawoje, posąg zaś powstrzymywał uśmiech, aby nie zakłócić jego nieskazitelnej elegancji.

Miliard płatków później drobna sylwetka posągu stała się prawie niewidoczna; ot, jakaś wypukłość w białym amalgamacie ogrodu.

Jedynym odstępstwem było mruganie od czasu do czasu rzęsami, nie zawsze zresztą celowo, po to, żeby oczy

48

zachowały okno na niebo i nadal mogły obserwować osuwającą się z niego z wolna śmiercionośną lawinę.

Przez lodowatą warstwę przenikało powietrze, nie pozwalając posągowi się udusić. On zaś doświadczał cudownego, ponadludzkiego wrażenia zmagania z czym? - sam nie wiedział - z jakimś bliżej nieokreślonym aniołem - śniegiem, a może własnym ja? - ale także uczucia niebywałego spokoju, tak całkowite było jego pogodzenie się z losem.

Bałwanowi szło gorzej. Niezdyscyplinowany i nie do końca przekonany o słuszności całego eksperymentu, nie mógł się powstrzymać, żeby się nie wiercić. Zresztą pozycja stojąca nie bardzo sprzyjała zasypaniu, a jeszcze mniej uległości. Roselyne obserwowała leżący posąg i zastanawiała się, co robić. Znała ekstremizm przyjaciółki i wiedziała, że ta nie pozwoliłaby jej się mieszać w swoje zbawienie.

Mimo przykazania, żeby się nie odzywać, postanowiła się wyłamać i zapytała:

- Plectrude, słyszysz mnie?

Nie było odpowiedzi.

Mogło to oznaczać, że przyjaciółka, wściekła z powodu niesubordynacji bałwana, postanowiła ukarać go milczeniem. To byłoby do niej podobne.

Ale mogło też oznaczać coś zupełnie innego.

W głowie Roselyne rozpełtała się burza.

Warstwa śniegu na twarzy posągu była już tak gruba, że nawet mrugając powiekami, nie mógł go strącić. Otwory na oczy, dotąd puste, zasklepiły się.

49

Początkowo światło dnia przenikało przez śnieżny woal i kilka milimetrów od swych źrenic posąg widział cudowną kryształową kopułę; było to piękne jak kolekcja drogich kamieni.

Ale niebawem całun utracił przejrzystość. Kandydatkę na nieboszczkę spowiły ciemności. Fascynujący był ten mrok; niesamowitością odkrycie, że pod takim bezmiarem bieli może kryć się aż taka ciemność.

Okrywająca ją warstwa coraz bardziej tężała.

Posąg poczuł, że zaczyna mu brakować powietrza. Chciał się podnieść i strząsnąć z siebie ten knebel, śnieg jednak zamarzył, formując igloo idealnie dostosowane do wymiarów jego ciała.

Zrozumiał, że tkwi uwięziony w tym, co stanie się jego trumną.

A wtedy żywy zachował się jak żywy: zaczął krzyczeć. Jego krzyki tłumiły jednak grube centymetry śniegu; ze śnieżnego pagórka wyostał się jedynie nikły pisk.

Roselyne w końcu go usłyszała i rzuciła się dobywać przyjaciółkę z usypanego z płatków grobu, używając rąk jako łopaty. Pojawiła się sina trupio piękna twarz.

Ocalona wydała z siebie pełen uniesienia okrzyk:

- To było cudowne!
- Czemu nie wstawałaś? Byłaś jedną nogą na tamym świecie!
- Bo śnieg zamarzył i byłam uwięziona.
- Wcale nie zamarzył! Przecież rozgarnęłam go ręką.
- Ach, tak? To znaczy, że za bardzo osłabłam z zimna, żeby się poruszyć.

Powiedziała to z taką nonszalancją, że zbita z tropu Roselyne pomyślała, iż przyjaciółka być może tylko udaje. Jednak nie, była naprawdę sina. W końcu czego jak czego, ale śmierci udawać się nie da.

50

Plectrude podniosła się i z wdzięcznością popatrzyła w niebo.

- To było niesamowite przeżycie!
- Jesteś wariatką. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że gdyby nie ja, już byś nie żyła.
- Wiem. I dziękuję, że mnie uratowałaś. Przez to staje się to jeszcze piękniejsze.
- Niby co w tym pięknego?
- Wszystko!

Mała sensatka wróciła do domu i cała przygoda skończyła się jedynie potężnym katarem. Przyjaciółka uznała, że Plectrude wyłgała się tanim kosztem. Choć podziwiała baletnicę, uważała, że zaczyna jej trochę odbijać: nieustannie musi robić ze swojego życia spektakl, wszystko w nim musi być monumentalne, prowokuje wyrafinowane sytuacje zagrożenia, tam gdzie panuje spokój, i tylko cudem wychodzi z nich cało.

Roselyne nigdy nie mogła uwolnić się od podejrzania, że Plectrude rozmyślnie pozwoliła uwięzić się w śnieżnym całunie; znała upodobania przyjaciółki i wiedziała, że ta uznałaby całą przygodę za znacznie mniej ekscytującą, gdyby wyostała się o własnych siłach. Chcąc dochować wierności swoim koncepcjom estetycznym, wołała czekać, aż inni ją oswobodzą.

Roselyne zadawała sobie też pytanie, czy Plectrude nie wołałaby raczej umrzeć, niż pogwałcić heroiczne prawa swojej osobowości.

Nigdy oczywiście nie uzyskała potwierdzenia tych przypuszczeń. Czasami próbowała wmawiać sobie, że jest inaczej: „W końcu sama zawołała mnie na pomoc. Gdyby była naprawdę szalona, nie wzywałaby pomocy”.

51

Ale zdarzały się również inne niepokojące i intrygujące sytuacje. Kiedy czekały razem na autobus, Plectrude miała zawsze skłonność do schodzenia na jezdnię i zostawiania na niej, nawet gdy przejeżdżały samochody. Wtedy Roselyne gestem nie dopuszczającym sprzeciwu wciągała ją z powrotem na chodnik. W takich chwilach na twarzy małej tancerki pojawiał się poruszający wyraz szczęścia.

Jej przyjaciółka nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć.

Któregoś dnia postanowiła nie interweniować, żeby się przekonać. I przekonała się.

Prosto na Plectrude pędziła wielka ciężarówka, lecz ona nadal stała na jezdni. Niemożliwe, żeby jej nie zauważyła. A jednak nie ruszyła się z miejsca.

W tym momencie Roselyne zdała sobie sprawę, że przyjaciółka wpatruje się jej prosto w oczy. W duchu jednak powtarzała sobie: „Niech sama sobie radzi, niech sama sobie radzi”. Ciężarówka była tuż, tuż.

- Uważaj! - wrzasnęła Roselyne.

Baletnica stała nieruchomo ze wzrokiem wlepionym w oczy przyjaciółki.

W ostatniej dosłownie sekundzie Roselyne wściekłym szarpnięciem ramienia ściągnęła ją z jezdni.

Plectrude z rozkoszy aż wykrzywiły się usta.

- Uratowałam mnie - oznajmiła z ekstatycznym westchnieniem.

- Jesteś kompletną wariatką! - nie wytrzymała Roselyne. - Ciężarówka mogła być nas obie potrącić. Czy chciałabyś, żebym zginęła z twojego powodu?

- Och, nie - zdziwiła się dziewczynka z taką miną, jakby zupełnie nie brała pod uwagę tej ewentualności.

52

- No to nigdy więcej tego nie rób! I uznała, że sprawa załatwiona.

Plectrude setki razy powracała myślą do swej przygody ze śniegiem.

Jej własna wersja bardzo się różniła od wersji Roselyne.

Rzecz w tym, że do tego stopnia była tancerką, iż nawet najzwyczajniejsze sceny ze swego życia postrzegwała w kategoriach baletowych etiud. Choreografia dopuszczała zmysł dramatyzmu w każdych okolicznościach; to, co w życiu groteskowe, w operze takie nie było, a jeszcze mniej w tańcu.

„W ogrodzie oddałam się we władanie śniegu, położyłam się i pozwoliłam, by zbudował wokół mnie katedrę, widziałam, jak powoli wznosi jej mury, potem sklepienia, i byłam posągiem spoczywającym w katedrze specjalnie dla niego wzniesionej, a potem bramy zatrzasnęły się i przysłała po mnie śmierć, wpierw biała i łagodna, a potem coraz bardziej mroczna i gwałtowna, i już właśnie miała mnie z sobą zabrać, gdy w ostatniej chwili pospieszył mi na ratunek mój anioł stróż”.

Jeśli już się uratować, to najlepiej w ostatniej chwili; tak było o wiele piękniej. Przedwczesne ocalenie dowodziłoby jedynie złego gustu.

Roselyne nie miała pojęcia, że przypadła jej rola anioła stróża.

Plectrude skończyła dwanaście lat. Wtedy to po raz pierwszy poczuła w sercu lekkie ukłucie niepokoju.

53

Dotąd ochoczo witała każdy następny rok życia; był Powodem do dumy, kolejnym heroicznym krokiem ku przyszłości, rzecz jasna świetlanej. Ale dwanaście lat stanowiło pewną granicę; ostatnie urodziny niewinności. Odrzucała myśl, że może mieć trzynaście lat. Brzmiało to po prostu strasznie. Świat nastolatków nie pociągał jej ani trochę. Trzynaście lat oznaczało mnóstwo rozterek, fatalne samopoczucie, młodzieńczy trądzik, pierwszą miesiączkę, biustonosz oraz różne inne potworności.

Dwunaste urodziny były ostatnimi, kiedy mogła czuć się jeszcze chroniona przed plagami wieku dojrzeźwania. Z satysfakcją gładziła swoją płaską jak deska klatkę piersiową.

Szukała więc pociechy w ramionach matki. Ta przytulała ją, pieściła, szeptała czułe słówka, nacierała - okazywała jej mnóstwo cudownych dowodów czułości, jakich najlepsze z matek nigdy nie skąpią swoim córkom.

Plectrude to uwielbiała. Przymykając oczy ze szczęścia, myślała, że niczyja inna miłość nie mogłaby jej być tak miła jak miłość matki. Znalezienie się w ramionach chłopca nie byłoby niczym romantycznym. Znalezienie się w ramionach Clemence było najwyższym szczęściem.

Tak, ale czy matka nadal będzie ją tak kochać, kiedy zamieni się w pryszczatą nastolatkę? Myśl ta była straszna. Nawet nie śmiała się nad tym zastanawiać.

Odtąd Plectrude zaczęła kultywować w sobie dzieciństwo. Była jak właściciel ziemski władający przez długie lata wielkimi włościami, z których w następstwie jakiejś katastrofy został mu jedynie mały splachetek gruntu. 54

Stawiając czoło okrutnemu losowi, uprawiała swoje poletko z przeogromnym nakładem starań i miłości, otaczając wielką troską te nieliczne kwiaty dzieciństwa, które mogła jeszcze pielęgnować.

Czesła się w warkocz i końskie ogony, ubierała się wyłącznie w ogrodniczki, nosiła z sobą wszędzie swojego pluszowego misia, przysiadła na ziemi, gdy chciała zawiązać sznurowadła swoich kickersów.

Nie potrzebowała się wcale zmuszać do tych dziecinnych zachowań; szła za głosem tego naturalnego impulsu, który najbardziej w sobie lubiła, z pełną świadomością, że w przyszłym roku będzie to już niemożliwe.

Takie postępowanie mogłoby wydawać się dziwaczne. Jednak w przypadku dzieci i najmłodszych nastolatków dziwaczne nie jest; uważnie obserwują one swoich rówieśników zarówno tych przedwcześnie dojrzałych, jak tych nadal bardzo dziecinnych, ze sprzecznymi uczuciami podziwu i pogardy. Te, które przesadzają ze swą przedwczesną dojrzałością bądź infantylnością, ściągają na siebie niesławę, potępienie, śmieszność lub - rzadziej - zyskują opinię zuchwalców.

Weźmy pierwszą lepszą dziewczynkę z piątej czy czwartej klasy i zapytajmy, która z jej koleżanek nosi już stanik; zadziwi nas precyzja odpowiedzi.

W klasie Plectrude - już piątej - niektóre dziewczynki wyśmiewały się z jej końskich ogonów, ale tylko te, które nosiły już staniki, co przysparzało im więcej drwin niż podziwu; można by więc pomyśleć, że tymi kpinami rekompensują sobie zazdrość o płaski tors baletnicy.

Stosunek chłopców do pionierek biustonosza nie był jednoznaczny; choć zerkali na nie ukradkiem, nie szczędzili im wzgardliwych odzywek. Skądinąd płci męskiej

55

na całe życie pozostaje ów zwyczaj głośnego i dosadnego szkalowania tego, co karmi jej masturbacyjne fantazmaty. Na horyzoncie piątej klasy zaczęły się pojawiać pierwsze zwiastuny seksualności, budząc w Plectrude potrzebę osłonięcia się panczerem obronnym. Nie potrafiłaby ująć swoich obaw w słowa; wiedziała tylko, że o ile niektóre z jej koleżanek uważały się już za gotowe do robienia „różnych dziwnych rzeczy”, ona sama jeszcze gotowa nie była. Podświadomie, posiłkując się swoją dziecinną niewinnością, starała się ostrzec przed tym innych.

W listopadzie zapowiedziano, że do klasy przyjdzie nowy uczeń.

Plectrude lubiła nowych. Czy Roselyne zostałaby jej najbliższą przyjaciółką, gdyby pięć lat temu sama nie była nowa? Małą tancerkę ciągnęło zawsze do tych nieznanym, mniej lub bardziej wystraszonych dzieci.

Wobec nowego lub nowej większość dzieciaków zachowywała się, świadomie bądź nie, w sposób okrutny; najdrobniejsza „odmienność” (na przykład obiera pomarańczę nożem albo woła „kurde!” zamiast zwyczajowego „cholera!”) wywoływała złośliwe uśmiešky. " Ale Plectrude zachwycały takie dziwaczne zachowania; budziły w niej entuzjazm etnologa, stykającego się z obyczajami jakiegoś egzotycznego ludu. „Obierać pomarańczę za pomocą noża, jakie to piękne, jakie niezwykle!", albo: „To jego «kurde» jest takie nieoczekiwane!". Nowo przybyłym okazywała przyjazną szczodrość Tahitanki, ofiarowującej europejskim marynarzom na powitanie szeroki uśmiech zamiast girlandy z kwiatów hibiskusa.

56

Szczególnie wzruszający byli ci nowi, którzy do tego stopnia nie potrafili się zachować, że zjawiali się w klasie w ciągu roku szkolnego zamiast dołączyć do stadka, jak pan Bóg

przykazał, we wrześnie. Tak jak ten nowy nowy. Mała tancerka już z góry była do niego jak najprzychylniej nastawiona. Kiedy wkroczył do klasy, na jego widok twarz stężała jej w wyrazie grozy i uwielbienia.

Nazywał się Mathieu Saladin. Posadzono go w głębi sali przy kaloryferze.

Plectrude w ogóle nie słuchała, co mówił nauczyciel. Czuła coś niesamowitego. Drapała ją w gardle, co było wspaniałe. Wciąż korciło ją, żeby odwrócić się i rzucić okiem na chłopca. Zazwyczaj nie miała większych oporów z przyglądaniem się innym, tak że niekiedy bywało to wręcz niegrzeczne. Ale teraz nie mogła.

W końcu zaczęła się przerwa. W normalnej sytuacji podeszłaby do nowego, uśmiechając się promiennie, żeby się wyluzował. Ale teraz tkwiła w rozpaczliwym bezruchu. Natomiast inni pozostali wierni swoim wrogim nawykom:

- Hej ty, nowy, walczyłeś w Wietnamie czy co?

- Nazwiemy go Szrama.

Plectrude czuła narastający w niej gniew. Musiała się powstrzymać, żeby nie wrzasnąć: „Zamknijcie się! Ta blizna jest przepiękna! Jeszcze nigdy nie widziałam tak cudownego chłopca!”.

Usta Mathieu Saladina przecinała wpół długa pionowa szrama, fachowo zszyta, niemniej okrutnie rzucająca się w oczy. Była zbyt duża, by kojarzyć ją z blizną po operacji zajęcej wargi.

Tancerka od razu, bez cienia wątpliwości, wiedziała: była to rana od szabli. Nazwisko chłopca kojarzyło jej się

57

z Baśniami z tysiąca i jednej nocy, w czym nie do końca się myliła, bo faktycznie miało ono swój odległy perski rodowód. Z tego zaś wynikało niezbicie, że chłopiec musi posiadać szablę o zakrzywionym ostrzu. Pewnie jej użył do rozplątania jakiegoś niegodziwego krzyżowca, przybyłego z zamiarem zawładnięcia grobem Chrystusa. Ale rycerz chrześcijański, zanim padł martwy, jednym mściwym i odstręczającym podstępny gestem (w końcu Mathieu Saladin porąbał go tylko na kawałki, co w owych czasach było rzeczą całkiem normalną) ciął go mieczem po ustach, na zawsze znacząc mu twarz pamiątką po tej walce.

Nowy uczeń miał regularne, klasyczne rysy, miłe, a zarazem niewzruszone. Blizna dodatkowo je uwydatniała. Plectrude w milczeniu napawała się swymi doznaniem.

- Jak to, nie przywitasz tego nowego tak jak zawsze? - zapytała Roselyne.

Tancerka pomyślała, że jej milczenie może się wydać podejrzane. Zebrała się na odwagę, wzięła głęboki wdech i z wymuszonym uśmiechem podeszła do chłopca.

Ten stał w towarzystwie odrażającego dryblasa imieniem Didier, który odsiadywał drugi rok w tej samej klasie, a teraz próbował zagarnąć na wyłączność Mathieu Saladina, pewnie po to, by móc się potem przechwalać, że jeden z jego kumpli jest cały pokiereszowany.

- Cześć, Mathieu - wydukała. - Jestem Plectrude.

- Cześć - odrzekł uprzejmie i z rezerwą. Normalnie dorzuciłaby jakieś miłe, głupawe zdanko typu: „Witaj w klasie” albo „Mam nadzieję, że będziesz się z nami dobrze bawił”. Ale teraz nie była w stanie nic z siebie wydusić. Zrobiła więc w tył zwrot i wróciła na swoje miejsce.

58

- Dziwne imię, ale bardzo ładna - skwitował Mathieu Saladin.

- Wiesz, jak to jest - mruknął Didier, zgrywając się na lowelasa. - Jeśli szukasz laski, nie zadawaj się ze smarkatą. Weź, popatrz na Muriel; nazywam ją Cycata.

- Faktycznie jest - potwierdził nowy.

- Chcesz, to cię przedstawię.

I nie czekając na odpowiedź, chwycił chłopaka za ramię i powiodł przed oblicze rzeczonyj osobniczki o bujnym torsie. Tancerka nie słyszała, o czym rozmawiali. Czuła w ustach smak goryczy.

W nocy po tym pierwszym spotkaniu Plectrude wygłosiła do siebie mowę:

„Jest dla mnie stworzony. Jest mój. Jeszcze tego nie wie, ale należy do mnie. Obiecuję sobie, że Mathieu Saladin będzie mój. Nieważne, czy za miesiąc, czy za dwadzieścia lat.

Przyrzekam sobie, że tak się stanie”.

Przez długie godziny powtarzała owe słowa niczym magiczne zaklęcie, czując w sobie pewność, której potem już długo nie odzyska.

Bo nazajutrz w klasie zmuszona była stawić czoło rzeczywistości; nowy nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Choć wlepiła w niego swe cudowne oczy, nawet tego nie zauważył.

„Gdyby nie rana, byłby tylko przystojny. Ale z tą blizną jest po prostu urzekający” - powtarzała w duchu.

Choć Plectrude była tego nieświadoma, jej fascynacja tym śladem po walce była bardzo znacząca. Uważała się za rodzoną córkę Clemence i Denisa i nie miała pojęcia o prawdziwych okolicznościach swoich narodzin.

Nie wiedziała, jak gwałtowna przemoc towarzyszyła jej przyjsciu na świat.

Gdzieś w najgłębszych mrokach jej jaźni musiał jednak istnieć jakiś obszar, który przesiąkł tą atmosferą zbrodni i krwi, gdyż uczucie, którego doświadczała, chłonąc wzrokiem bliznę na twarzy chłopca, było głębokie niczym pierwotne zło.

Pocieszające było to, że choć Mathieu się nią nie interesował, to nie okazywał też zainteresowania nikim innym. Był chłopcem zrównoważonym, o niezbyt ekspresyjnych rysach twarzy, jego mina nie wyrażała nic oprócz neutralnej uprzejmości pod adresem wszystkich bez wyjątku. Był wysoki, bardzo szczupły, delikatnie zbudowany. Miał w oczach mądrość tych, którzy poznali cierpienie.

Kiedy go o coś pytano, przez chwilę się zastanawiał i zawsze udzielał inteligentnej odpowiedzi. Był najmniej głupim z wszystkich chłopców, jakich Plectrude dotąd spotkała.

Z żadnego przedmiotu ani się specjalnie nie wyróżniał, ani nie był zdecydowanie słaby. We wszystkich osiągał poziom na tyle poprawny, by nie zwracać na siebie uwagi.

Mała baletnica, której oceny przez wszystkie te lata pozostawały jednakowo beznadziejne, szczerze go za to podziwiała. Całe szczęście, że przynajmniej zyskała sympatię oraz niejaki uznanie kolegów z klasy, inaczej by toby jej jeszcze trudniej znosić komentarze, jakie wywoływały jej odpowiedzi.

- Dlaczego wygadujesz tak niestworzone rzeczy? - pytali niektórzy nauczyciele zdruzgotani jej wypowiedziami.

60

Chętnie by im odrzekła, że to przecież nienaumyślnie. Czuła jednak, że tylko pogorszyłaby tym swoją sytuację. Skoro już musiała powodować takie chichoty całej klasy, lepiej było udawać, że robi to z premedytacją.

Nauczyciele przypuszczali, że reakcje klasy napawają ją dumą i że specjalnie je prowokuje. Prawda wyglądała zupełnie inaczej. Ogólna wesołość, jaką wywoływały jej byki, powodowała, że Plectrude najchętniej zapadłaby się pod ziemię.

Przykład jeden z wielu: tematem lekcji był Paryż oraz jego zabytki i Plectrude zadano pytanie związane z Luwrem. Właściwa odpowiedź brzmiała: Łuk Carrousel, dziewczynka jednak odpowiedziała: - Łuk Cadet Rousselle.

Klasa powitała tę nową niedorzeczność z entuzjazmem publiczności oklaskującej swego ulubionego komika.

Plectrude straciła głowę. Poszukała wzrokiem twarzy Mathieu Saladina i zobaczyła, że ten śmieje się z całego serca i z rozczuleniem. Westchnęła z uczuciem ulgi, a jednocześnie urazy; ulgi, bo mogłoby być gorzej; urazy, gdyż wcale nie takiej reakcji się po nim spodziewała.

„Ach, gdyby tylko mógł zobaczyć, jak tańczy!” - pomyślała.

Jak jednak otworzyć mu oczy na swój talent? Przecież nie podejdzie do niego i nie zaszerwuje mu prosto z mostu, że jest najlepszą tancerką swego pokolenia.

Najgorsze było to, że nowy zadawał się wyłącznie z Di-dierem. Po takim gagatku raczej trudno się spodziewać, że go o tym poinformuje; Didier gwizdał na Plectrude i jej balet.

Jedyne, co go interesowało, to świerszczyki, piłka nożna, papierosy i piwo. Wykorzystując to, że jest

61

o rok starszy, odstawiał dorosłego i utrzymywał, że się już goli, w co raczej trudno było uwierzyć, oraz przechwalał się swoim powodzeniem u dziewczyn z czwartej i trzeciej klasy.

Aż dziw, co Mathieu Saladin widział w towarzystwie takiego debila. W gruncie rzeczy jasne było, że nic; kolegował się z Didierem, bo Didier miał ochotę się z nim prowadzać. Mathieu dbał o niego tyle, co o zesłoroczny śnieg. Didier mu po prostu nie zawadzał.

Któregoś dnia na przerwie, zdobywszy się na niebywałą odwagę, Plectrude podeszła porozmawiać ze swoim idolem. Usłyszała samą siebie pytającą, kto jest jego ulubionym piosenkarzem.

Odparł uprzejmie, że właściwie żaden do niego nie przemawia, dlatego też z grupką przyjaciół stworzył własny zespół:

- Spotykamy się w garażu moich rodziców i gramy taką muzykę, jakiej sami chcielibyśmy słuchać.

Plectrude mało co nie zemdląła z podziwu. Była zbyt zadurzona, by zachować przytomność umysłu, i dlatego nie powiedziała tego, co chciała powiedzieć: „Chętnie bym posłuchała waszej gry, twojej i przyjaciół”.

Zamiast tego stała jak niemowa, z czego Mathieu Saladin wywnioskował, że nie jest zainteresowana, i nie zaprosił jej do swojego garażu. Gdyby to zrobił, Plectrude nie zmarnowałyby siedmiu lat życia. Niby drobiazg, a jak brzemienny w skutki.

- A jaką ty lubisz muzykę? - spytał chłopiec.

I tu nastąpiła katastrofa. Plectrude była bowiem jeszcze w tym wieku, kiedy słucha się tej samej muzyki co

62

rodzice. Denis i Clemence uwielbiali dobrą piosenkę francuską: Barbarę, Leo Ferre, Jacques'a Brela, Serge'a Reggianiego, Charles'a Treneta; wymieniając którekolwiek z tych nazwisk udzieliłaby znakomitej odpowiedzi, w pełni zasługującej na szacunek.

Ale wstydziła się: „Mieć dwanaście lat i nie posiadać jeszcze żadnych własnych upodobań! Nie możesz mu tak odpowiedzieć; zorientuje się, że to muzyka twoich rodziców”.

Niestety, nie miała zielonego pojęcia o żadnym z dobrych wykonawców końca lat siedemdziesiątych. Znała tylko jedno nazwisko, które teraz rzuciła:

- Dave.

Reakcja Mathieu Saladina nie była właściwie złośliwa; po prostu się roześmiał. „Ale z tej dziewczyny zgrywuska!” - pomyślał.

Mogła była obrócić na swoją korzyść jego rozbawienie. Ona jednak, niestety, odebrała je jako upokorzenie. Odwróciła się na pięcie i odeszła. „Nie odezwę się do niego więcej ani słowem” - postanowiła.

Od tego momentu zaczął się upadek. Jej oceny, i tak zawsze marne, teraz stały się już skandaliczne. Sława geniusza, dotąd zawsze zasiewająca ziarno wątpliwości w umysłach profesorów, już nie wystarczyła.

Również sama Plectrude dokładała starań, zupełnie jakby umyśliła popełnić szkolne samobójstwo. Nie bez pewnego upojenia sięgała granic totalnej ignorancji i rozbijała je w drobny mak.

Udzielając na pytania nauczycieli odpowiedzi kompletnie z sufitu, nie robiła tego umyślnie; po prostu

63

n

postanowiła odpuścić sobie wszelką kontrolę. Idąc na całość, powtarzała tylko to, co podpowiadał siedzący w niej nieuk. Nie chodziło jej o to, by zwrócić na siebie uwagę (choć, gwoli szczerości, nie było jej to do końca niemiłe), lecz żeby ją odrzucono, wykluczono, wyklęto niczym obce ciało, którym była.

Andronów, jakie opowiadała na lekcjach geografii („Nil bierze swój początek w Morzu Śródziemnym i nigdzie nie ma ujścia”), geometrii („kąć prosty kończy się na dziewięćdziesięciu stopniach”), gramatyki („czas przeszły dokonany odnosi się do kobiet, z wyjątkiem sytuacji kiedy w grupie występuje mężczyzna”), historii („Ludwik XIV przeszedł na protestantyzm z chwilą, gdy poślubił Edykt Nantejski”) lub biologii („kot posiada pełnoletni wzrok oraz widzące nocą pazurki”), reszta klasy słuchała z nieskrywanym podziwem.

Podzielanym zresztą przez samą Plectrude, która z jakimś zaskoczeniem oraz ekscytacją przysłuchiwała się nonsensom, jakie wygadywała; nie posiadając się ze zdumienia, że ukrywa w sobie aż tyle surrealistycznych skarbów, uświadamiała sobie tkwiącą w niej nieskończoność.

Pozostali uczniowie byli przekonani, że zachowanie Plectrude jest czystą prowokacją. Za każdym razem, kiedy nauczyciel wywoływał ją do odpowiedzi, wstrzymywali oddech, a potem zachwycali się naturalną swobodą, z jaką serwowała swoje wymysły. Uważali, że jej celem jest wykpienie instytucji szkoły oraz zyskanie poklasku dla swojej odwagi.

W końcu jej sława rozeszła się poza granice klasy. Podczas przerw działy szkolna wypytywała uczniów klasy piątej o „najnowszy numer Plectrude”. Opowieści

64

o jej dokonaniach przypominały epickie poematy o czynach rycerskich. Konkluzja była zawsze taka sama:

- Trochę jednak przesadza!
- Czy ty jednak trochę nie przesadzasz? - zdenerwował się ojciec, ujrawszy stopnie w jej dzienniczku.
- Nie chcę już chodzić do szkoły, tatusiu. To nie dla mnie.
- Nie ma mowy!
- Chciałabym zostać baletnicą w Operze Paryskiej. Nie trafiło na głuchego.
- Świetny pomysł! - poparła ją Clemence.
- To jeszcze jej bronisz?
- No pewnie! Nasza Plectrude jest genialną tancerką. Jest w tym wieku, że powinna poświęcić się temu całym ciałem i duszą! Po co ma tracić czas na jakąś gramatykę? Jeszcze tego samego dnia Clemence zatelefonowała do szkoły baletowej przy Operze. Szkoła tańca, do której dotychczas uczęszczała dziewczynka, z entuzjazmem poparła ten pomysł:

- Mieliliśmy gorącą nadzieję, że podejmiecie państwo taką decyzję! Plectrude jest urodzoną tancerką!

Przygotowano listy polecające, w których wyrażano się o niej niczym o przyszłej Pawiowej.

Wezwano ją do Opery na egzamin. Kiedy Clemence dostała list w tej sprawie, aż zakrzyknęła, choć to jeszcze nic nie znaczyło.

65

W wyznaczonym dniu Plectrude i jej matka wsiadły do kolejki podmiejskiej. Gdy przekraczały próg szkoły baletowej, serce Clemence waliło jeszcze mocniej niż serce jej córki.

Dwa tygodnie później Plectrude otrzymała zawiadomienie, że została przyjęta. Był to najpiękniejszy dzień w życiu jej matki.

We wrześniu miała rozpocząć naukę w szkole baletowej przy Operze i zamieszkać w internacie. Plectrude wydawało się, że śni. Otwierała już się przed nią cudowna przyszłość. Był kwiecień. Denis nalegał, by skończyła - oraz zaliczyła - bieżący rok szkolny:

- Przynajmniej będziesz mogła mówić, że przerwałaś naukę w klasie czwartej.

Dziewczynka uważała takie szachrajstwo za śmieszne, ale kochała ojca, więc przysiadła łańdów i, choć z wielkim trudem, udało jej się zaliczyć rok. Odtąd już cieszyła się łaskami wszystkich.

Całe gimnazjum wiedziało, dlaczego odchodzi, i niezmiernie się tym pyszniło. Nawet nauczyciele, dla których Plectrude była prawdziwym utrapieniem, twierdzili, że zawsze wyczuwali w tym dziecku „geniusza”.

Wychowawcy wychwalali jej grację, panie ze stołówki sławiły jej brak apetytu, nauczyciel wuefu (z którego to przedmiotu baletnica była wyjątkowo słaba) podkreślał prężność oraz finezję jej mięśni; ale szczytem wszystkiego było to, że ci uczniowie, którzy nigdy jej nie lubili, zaczęli przechwalać się, że się z nią przyjaźnią.

Niestety, jedyna osoba w klasie, na której dziewczynka chciała zrobić wrażenie, okazała tylko uprzejmy podziw.

66

Gdyby lepiej знаła Mathieu Saladina, wiedziałaby, dlaczego zachowuje tak kamienna, tę*

^

Mathieu myślał bowiem: „Do diaDia. I j razem, ze mam przed sobą ^j*ff* nięcie celu!

Tymczasem ona - tylko patrzeć, j gwiazdą! Na pewno nigdy więcej jej nie «*^G^

śmy chociaż БУД P^^^StrS się z nią jeszcze kiedyś spotkać. №MP«Wl jednak nigdy, a nie będę się przecież zac^ J reszta tych dupków, którzy na wieść o tym, co ją czeka, пНяя teraz wielkie uwielbienie”.

SatSgo dnia szkoły Mathieu Saladin pożegnał się

z nią chłodno. tf,mnazium - westchnęła

„Całe szczęście, że odchodzę z gimnazjum

tancerka. - Przystanę go widywać i «~^Д mniej o nim myśleć. Zupełnie go me wzrusza, ze więcej

mnie nie zobaczy!”.

v,«io- nauka w szkole Tego lata me pojechał, --fff m okrągł, baletowej była kosztowna W nneszka

dzwonii telefon; a to «Г*^£35 ko na wiasne - wszyscy chcieli obejrzyć niezwykle zjaw

Pjectrude chcMa juz jak «fffff

temacie, bo miała dosyć tego niekonczącego c

^tS nade, rozpała swój —Г£Г£ pywała s, na swoje ^~ff~*£

A potem otwierała oczy i docierała do niej nedorzecznosc tego, co wyprawia. Więc złościła się: „Jakie to beznadziejne mieć dwanaście i pół roku i podobać się wszystkim, tylko nie Mathieu Saladinowi!”.

Nocą, leżąc w łóżku, wymyślała historie znacznie bardziej wyraziste: ona i Mathieu Saladin zostali uwięzieni w beczce, którą zepchnięto w wodospady Niagary. Beczka rozbijała się na

skafach i jedno z nich, on lub ona, było ranne albo nie dawało znaku życia i trzeba je było reanimować.

Obie wersje miały swoje plusy. Kiedy to ona potrzebowała ratunku, uwielbiała, jak nurkował w odmęty, chwycił ją i wyławiał, a potem na brzegu robił jej sztuczne oddychanie; z kolei kiedy on był ranny, ona wyciągała go z wody i wyobrażając sobie jego rany, zlizywała z nich krew, radując się z powodu nowych szram, które przydadzą mu jeszcze większej urody. Aż w końcu zaczynała odczuwać dreszcze pożądania przyprawiające ją o szaleństwo. Wpatrywała nowego roku szkolnego niczym wybawienia. Okazał się więzieniem. Wiedziała, że w szkole baletowej panuje żelazna dyscyplina. Jednak to, co na miejscu odkryła, przerosło, i to znacznie, jej najgorsze przeczucia.

Dotąd w każdej grupie ludzkiej, w której się znalazła, Plectrude była zawsze najszczuplej sza. Tu należała do „normalnych”. Dziewczynki, które nazywano szczupłymi, poza murami szkoły uchodziłyby za szkielety. Natomiast te, które w świecie zewnętrznym uznano by za normalnie zbudowane, tutaj nazywano „krówkami”.

68

Pierwszy dzień przypominał jatkę. Zjawiała się chuda stara rzeźniczka, żeby dokonać przeglądu uczennic, zupełnie jakby były kawałkami mięsa. Posortowała je na trzy kategorie, wygłosiła następującą mowę:

- Szczupłe, w porządku, tak trzymać. Normalne, ujdzie, ale będę miała was na oku. Krówska albo schudną, albo odejdą; u nas nie ma miejsca dla macior.

Jej uroczę pokrzykiwania powitał wybuch wesołości „szczupłych”; wypisz, wymaluj rozweselone trupy. „Są koszmarnie” - pomyślała Plectrude.

Jedna z „krówk”, skądinąd ładna dziewczynka o idealnie normalnych proporcjach, rozplakała się. Na co stara wiedźma wrzasnęła:

- Tylko mi się tu nie rozczulać! Jeśli chcesz nadal opychać się łakociami uwieszona spódnicy mamusi, nikt cię tu nie zatrzyma!

Następnie kawałki młodego mięsa zostały zmierzone i zważone. Plectrude, która za miesiąc miała skończyć trzynaście lat, mierzyła metr pięćdziesiąt pięć wzrostu i ważyła czterdzieści kilo, niewiele, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że, jak u każdej szanującej się tancerki, były to same mięśnie; niemniej dano jej do zrozumienia, iż jest to „nieprzekraczalne maksimum”. Dla wszystkich tych dziewczynek pierwszy dzień w szkole baletowej był jak brutalne odebranie im dzieciństwa; jeszcze wczoraj ich ciała były ukochanymi roślinami, pielęgnowanymi i hołubionymi, a ich rozwój uważano za cudowne zjawisko przyrodnicze, gwarantujące im świetlaną przyszłość; ich rodziny zaś były ogrodami z żyzną ziemią, w których życie toczyło się powoli i przytulnie. Tymczasem tutaj, z dnia na dzień wyrwane z tego wilgotnego podłoża, rzucone zostały w pustynny świat, w którym

69

srogie oko dalekowschodniego eksperta orzekło, że taki a taki pęd należy wydłużyć, taki a taki korzeń wysubtelnić i, chcą tego, czy nie chcą, dokładnie tak się stanie, ponieważ istnieją odpowiednie techniki, aby to uzyskać.

W oczach dorosłych nie widać tu było śladu czułości; był tylko skalpel czatujący na ostatnie ślady dziecięcego tłuszczu. Dziewczynki odbyły błyskawiczną podróż w czasie i przestrzeni, w ciągu zaledwie kilku sekund przenosząc się z Francji ostatnich lat drugiego tysiąclecia do średniowiecznych Chin.

Mało powiedzieć, że w murach szkoły panowała żelazna dyscyplina. Ćwiczenia zaczynały się wcześniej rano i kończyły późnym wieczorem, z krótkimi przerwami na posiłek, nie zasługujący nawet na to miano, i na plażę nauki, na której uczennice tak intensywnie napawały się chwilą wytchnienia ciała, że nie był im w głowie żaden wysiłek umysłowy.

Przy takim reżimie wszystkie dziewczynki chudły, w tym również te, które i tak były już za chude. Te ostatnie, zamiast się tym zaniepokoić, co na ich miejscu uczyniłby każdy człowiek przy zdrowych zmysłach, cieszyły się. Tutaj nigdy nie było się zbyt wychudzonym.

Odwrotnie, niż można by się spodziewać po doświadczeniach pierwszego dnia, głównym zmartwieniem nie była bynajmniej waga. Ciała były tak wyczerpane niekończącymi się godzinami ćwiczeń, że miały jedyną obsesję: po prostu usiąść. Chwile, kiedy nie pracowały mięśnie, uważane były za magiczne.

Plectrude ledwie wstała rano, już zaczynała czekać na noc. Chwila, kiedy składało się na łóżku obolałe ze zmęczenia członki, była tak rozkoszna, że nie mogła myśleć

70

o niczym innym. To był dla nich jedyny prawdziwy odpoczynek, odwrotnie niż posiłki, które kojarzyły się ze stresem. Profesorowie do tego stopnia demonizowali jedzenie, że nawet to najpodlejsze stawało się przedmiotem pożądania. Dzieci uświadamiały to sobie z przerażeniem, jednocześnie same sobą gardząc z powodu apetytu, jaki w nich wzbudzało. Każdy przełknięty kęs był jednym kęsem za dużo.

Plectrude bardzo szybko zaczęła zadawać sobie pytania. Przyszła do tej szkoły po to, żeby zostać tancerką, a nie żeby stracić chęć do życia i żeby szczytem jej marzeń było wyspać się. Tutaj, pracując nad tańcem od rana do wieczora, wcale nie czuła, że tańczy; była jak pisarz, którego zmuszono, żeby nie pisał, lecz wytrwale studiował gramatykę. Oczywiście gramatyka jest podstawą, ale tylko jeśli ma służyć pisaniu: bez tego celu staje się jałowym zbiorem reguł. Plectrude nigdy jeszcze nie czuła się w tak niewielkim stopniu tancerką, jak od chwili rozpoczęcia nauki w tej szkole baletowej. Na kursach tańca, na które uczęszczała w poprzednich latach, było miejsce na drobne układy choreograficzne. Tutaj był tylko trening, koniec, kropka. Drażek zaczął kojarzyć się z pańszczyzną.

Inne uczennice wydawały się równie zdezorientowane. Nie mówiły o tym głośno, niemniej wyczuwało się narastające wśród nich zniechęcenie.

Niektóre rezygnowały. Władze szkoły jakby tylko na to czekały. Jedne odejścia pociągały za sobą następne. To spontaniczne oczyszczanie szeregów cieszyło nauczycieli i doprowadzało do rozpaczki Plectrude, dla której każde takie rozstanie równoznaczne było ze śmiercią.

Aż wreszcie doszło do tego, do czego dojść musiało: poczuła pokusę, żeby też zrezygnować. Powstrzymała

71

ją przed tym jedynie niejasne przekonanie, że matka będzie mieć do niej żal i nie pomogą żadne, nawet najbardziej przekonujące wyjaśnienia.

Kierownictwo szkoły bez wątpienia przewidywało, że pewna określona Uczba uczennic wykruszy się, gdyż z dnia na dzień jego postawa się zmieniła. Zwołano uczennice do sali jeszcze większej niż dotychczas, gdzie najpierw usłyszały, co następuje:

- Z pewnością zauważyłyście, ile osób ostatnio odeszło. Nie posuniemy się do stwierdzenia, że celowo do tego doprowadziliśmy, niemniej hipokryzją byłoby utrzymywać, że jest nam z tego powodu przykro.

Potem nastąpiła chwila ciszy, zapewne obliczona na to, by poczuły się nieswojo.

- Te, które odeszły, dowiodły, że tak naprawdę nie zależało im na tańcu, a konkretniej - pokazały, że brak im wytrwałości, niezbędnej, jeśli chce się zostać tancerką z prawdziwego zdarzenia. Wiecie, co niektóre z tych gęsi oświadczyły, powiadamiając nas o swojej rezygnacji? Że one chciały tańczyć, a tutaj się nie tańczy. A co one sobie wyobrażały? Że od razu wystąpią w Jeziorze Łąbedzim"! ^

Plectrude przypomniało się powiedzenie matki: „udzielać komuś dydaktycznej nauki”. Tak, o to tu chyba chodziło; profesorowie właśnie dawali im dydaktyczną naukę.

- Na taniec trzeba sobie zasłużyć. Występ na scenie przed publicznością to najwyższe w życiu szczęście. Prawdę mówiąc, nawet bez publiczności, nawet bez sceny taniec to upojenie

absolutne. Radość tak bezbrzeżna usprawiedliwia nawet najbardziej bolesne poświęcenia. To, czego was tutaj uczymy, ma na celu ukazanie tańca takim, jakim jest; nie środkiem, lecz nagrodą. Byłoby czymś niemoralnym pozwolić tańczyć uczennicom, które

72

sobie na to nie zasłużyły. Tym, którym nigdy nie dość tańca, osiem godzin dziennie drażka i głodowa dieta nie wydadzą się trudne. Więc niech te z was, które chcą odejść, odchodzą! Żadna więcej nie odeszła. Przesłanie zostało odebrane właściwie. Co pokazuje, że człowiek zaakceptuje najsurowsze rygory, jeśli tylko wytłumaczy mu się ich zasadność. Nadszedł czas nagrody: tańczyły. Oczywiście tyle co nic. Ale już samo to, że odeszły od drażka, by na oczach innych pośrodku sali wzbic się w górę, przez chwilę powirować i poczuć, do jakiego stopnia ich ciało opanowało sztukę tanecznego pas, było upajające. Skoro dziesięć sekund może dostarczyć aż takiej rozkoszy, to aż strach pomyśleć, czego doświadczą, tańcząc przez dwie godziny.

Po raz pierwszy Plectrude pożałowała, że Roselyne nie dostała się do szkoły baletowej. Jej przyjaciółka na zawsze pozostanie zwykłą dziewczyną, dla której taniec będzie jedynie rozrywką. Teraz Plectrude błogosławiła surowość swoich nauczycieli, którzy uświadomili jej, że ta sztuka jest religią.

To, co ją wcześniej oburzało, teraz wydawało jej się normalne. To, że je głodzono, że ogłupiano je całymi godzinami powtarzania ćwiczeń technicznych przy drażku, że im ubliżano, że dziewczynkom bez jakichkolwiek krągłości wymyślano od „grubych krów” - wydawało jej się teraz do zaakceptowania.

Były nawet jeszcze gorsze rzeczy, z powodu których na początku chciała protestować przeciwko łamaniu praw człowieka, a teraz już jej nie oburzały. Dziewczynki, które wcześniej od innych przejawiały oznaki dojrzewania,

73

zmuszano do przyjmowania pigułek blokujących pewne zmiany, jakie niosła z sobą dojrzałość. Przeprowadziwszy małe dochodzenie, Plectrude zorientowała się, że w szkole baletowej żadna, nawet w najwyższych klasach, nie miała okresu.

Omówiła to po cichu z jedną ze starszych dziewcząt, która powiedziała:

- Większości uczennic żadne pigułki nie są potrzebne; niedożywienie wystarczy, żeby zablokować miesiączkę i zmiany fizyczne, jakie zwykle za sobą pociąga. Jest jednak kilka twardych zawodniczek, którym mimo tych wszystkich wyrzeczeń i tak udaje się osiągnąć dojrzałość. I to one muszą łykać tę sławetną pigułkę, która zatrzymuje okres. Czegoś takiego jak tampon w naszej szkole nie uświadczysz.

- I nie ma żadnych dziewczyn, które miałyby okres i utrzymywały to w tajemnicy?

- Zwariowałaś? Przecież wiedzą, że to godzi w ich własny interes. Same proszą o pigułkę.

Swego czasu rozmowa ta wstrząsnęła Plectrude. Obecnie akceptowała najgorsze manipulacje; spartańskie rygory szkoły uważała za coś nadzwyczajnego.

Jej umysł został ujarzmiony, i to w sensie dosłownym; znalazł się pod jarzmem profesorów, we wszystkim przyznając im rację.

Na szczęście odzywający się w niej głos nieodległego jeszcze" dzieciństwa, bardziej buntowniczy niż głos nastolatki, ratował ją, podszeptując terapeutyczne bluźnierstwa: „A wiesz, czemu to miejsce nazywa się szkołą szczurów*? Podobno tak nazywa się uczniów, ale nieprawda,

W oryginale: *ecote des rats; petit rat de l'Opera* - młoda tancerka (lub tancerz), uczennica szkoły baletowej, statystująca w wielkich spektaklach baletowych (przyp. flum).

74

to się odnosi do profesorów. Tak, to oni są szczurami, są kutwami i mają wielkie zęby, żeby pożerać mięso z ciał tancerek. My mamy przynajmniej tę zasługę, że namiętnie kochamy taniec, czego nie można powiedzieć o nich; im, jak na szczury* przystało, chodzi tylko o to,

żeby nas obłupić ze skóry i pożreć. Szczur to synonim chciwości, i gdyby tylko o pieniądze chodziło! Oni są chciwi piękna, przyjemności, życia, a nawet samego tańca! To tylko gadanie, że kochają taniec. Oni są jego największymi wrogami. Zostali wybrani właśnie dlatego, że nienawidzą tańca, celowo, bo gdyby go kochali, wtedy nam byłoby za łatwo. Kochać to, co kocha nauczyciel, to zbyt naturalne. Od nas wymaga się tu rzeczy nadludzkich: poświęcenia się dla sztuki znienawidzonej przez naszych wychowawców, sto razy dziennie zdradzanej przez przyziemność ich umysłów. Taniec oznacza rozmach, grację, szczodrość, dar absolutny - całkowite przeciwieństwo mentalności szczura". Słownik języka francuskiego Roberta dostarczył jej pożywienia, którego już nie miała. Przeczytała w nim z zachłannością i ze smakiem: „Szczur wędrowny, wpaść w pułapkę, szczurzy pysk, skąpy, chciwiec". Słowo dając, szkoła zasłużyła sobie na tę nazwę.

Istniała jednak pewna higiena w doborze tak odstręczających nauczycieli. W instytucji tej uważano, skądinąd słusznie, że niemoralne byłoby dodawanie ducha małym baletnicom. Taniec, sztuka absolutna, wymagał bezgranicznego zaangażowania się. W tej sytuacji konieczne było poddawanie próbie motywacji uczennic poprzez podkopywanie ich ideału aż do samych podstaw. Te, które tego nie

* Słowem rat - szczur - w potocznym języku francuskim określa się człowieka skąpego, sknerę (przyp. tłum.).

75

wytrzymają, nigdy nie osiągną umysłowego kalibru gwiazdy. Takie procedery, choć same w sobie monstrualne, były pochodną najwyższej etyki.

Tyle że profesorowie o tym nie wiedzieli. Nieświadomi byli szczytnego celu swojego sadyzmu; powodowała nimi tylko i wyłącznie chęć dokuczenia.

W ten oto sposób, w tajemnicy, Plectrude nauczyła się tańczyć także na przekór nim.

W ciągu trzech miesięcy straciła pięć kilogramów. Była zachwycona. Tym bardziej że zauważyła pewne niezwykle zjawisko: zejście poniżej symbolicznej bariery czterdziestu kilogramów spowodowało u niej nie tylko zabicie wagi, ale również zanik uczuć.

Mathieu Saladin - to imię, niegdyś wprawiające ją w uniesienie, teraz jej już zupełnie nie wzruszało. A przecież nie spotkała go więcej ani nie miała żadnych o nim wieści, nie mógł jej więc rozczarować. Nie poznała też żadnych innych chłopców, z powodu których mogłaby zapomnieć o ukochanym.

Ochłodzenie jej uczuć nie wynikało też z upływu czasu. Trzy miesiące to niewiele. Poza tym zbyt uważnie się sobie przyglądała, by nie dostrzec związku przyczyn i skutków: z każdym utraconym kilogramem zniknęła część jej miłości. Nie ubolewała nad tym, przeciwnie; by móc ubolewać, musiałaby być zdolna do jakichkolwiek uczuć. Cieszyła się, że za jednym zamachem pozbyła się podwójnego ciężaru: pięciu kilogramów oraz tej kłopotliwej miłości. Obiecała sobie zapamiętać tę ważną prawidłowość: miłość, tęsknota, pożądanie, zaślepienie - wszystkie te

76

bzdury są przypadłościami ciała ważącego ponad czterdzieści kilogramów.

Jeśli pech sprawi, że któregoś dnia z powrotem tak się roztyje, a, co za tym idzie, uczucie znów zacznie dręczyć jej serce, będzie już znała lekarstwo na tę żalną patologię: przestać jeść, zbije wagę poniżej czterdziestu kilogramów.

Przy wadze trzydziestu pięciu życie wyglądało zupełnie inaczej: wszystko sprowadzało się do sprostania codziennemu wysiłkowi fizycznemu, do gospodarowania energią tak, by wystarczyło jej na osiem godzin ćwiczeń, do dzielnego oparcia się pokusie jedzenia, do ukrywania z dumą swego wyczerpania - i wreszcie do tańca, kiedy się na to zasłużyło.

Taniec był jedyną wartością nadrzędną. W pełni usprawiedliwiająca tę jałową egzystencję. Igranie z własnym zdrowiem nie miało znaczenia, jeśli tylko można było doświadczyć tego niewiarygodnego uczucia, jakim jest wzlatywanie w górę.

Wokół tańca klasycznego narosło pewne nieporozumienie. Wielu uważa go za komiczny światek tiulowych spódniczek i różowych baletek, manieryzmów na puentach i powietrznych afektacji. Najgorsze, że to prawda; tym właśnie jest taniec.

Ale nie tylko tym. Jeśli odjąć od baletu jego pretensjonalną sztuczność, jego tiule, akademizm i romantyczne koczeki tancerki - coś jeszcze zostaje, a to coś oznacza bardzo wiele. Najlepszy dowód, że największe gwiazdy tańca współczesnego wywodzą się z tańca klasycznego. Gdyż Graalem baletu jest wzlot. Żaden nauczyciel tak tego nie ujmie, w obawie, by nie wypaść na zwariowanego fanatyka. Ale każdy, kto poznał technikę sissone,

77

entrechat, wysokiego wyskoku w przód, niewątpliwie przyzna, że tym, czego usiłują go nauczyć w szkole, jest sztuka wyskoku.

Ćwiczenia przy drążku są dlatego tak nudne, że drążek jest jak grzęda. Każdy, komu marzy się, by wzbic się w górę, jest wściekły, że przez długie godziny musi tkwić uwiązany do kawałka drewna, gdy tymczasem wszystkimi członkami swego ciała czuje zew przestrzeni. Drążek jest odpowiednikiem nauki, jaką pobierają w gnieździe pisklęta: najpierw uczą się rozpościerać skrzydła, zanim posłużą się nimi, by wzlecieć w powietrze. Pisklętom wystarczy do tego kilka godzin. Ale jeśli istota ludzka wpadnie na tak szalony pomysł, by zmienić gatunek i nauczyć się fruwać, naturalną kolejną rzeczą musi poświęcić na to długie lata wyczerpujących ćwiczeń. Kiedy jednak nadejdzie chwila, że będzie jej wolno opuścić wreszcie grzędę - drążek - i wznieść się w powietrze, dozna satysfakcji, przerastającej jej najśmielsze oczekiwania. Sceptyczny widz nie dostrzega, co w takiej chwili dzieje się w ciele klasycznej tancerki: to istny odlot. A fakt, że owo szaleństwo podporządkowane jest konkretnym regułom i żelaznej dyscyplinie, nie umniejsza w niczym absurdalności całego przedsięwzięcia; taniec klasyczny jest zbiorem technik mających na celu przedstawienie pomysłu wzbicia się człowieka w powietrze jako możliwego i racjonalnego. Skoro tak, to jakże się dziwić groteskowej, by nie rzec błazeńskiej, oprawie towarzyszącej jego realizacji? Czyżby naprawdę ktokolwiek spodziewał się, że pomysł tak szalony może być dziełem ludzi zdrowych na umyśle?

Ta długa dygresja adresowana jest do tych, których balet jedynie śmieszy. Niech się śmieją, ale niech na

78

śmiechu nie poprzestaną: taniec klasyczny kryje w sobie bowiem budzący trwogę ideał.

A spustoszenia, do jakich ów ideał może doprowadzić w młodym umyśle, w niczym nie ustępują spustoszeniom powodowanym przez twarde narkotyki.

Na Boże Narodzenie trzeba było spędzić krótkie wakacje na łonie rodziny.

Żadnej z uczennic to nie cieszyło; przeciwnie, perspektywa ta napełniała je niepokojem. Bo niby czemu mają służyć wakacje? Miały uzasadnienie w czasach, kiedy głównym celem życia była zabawa. Ale te czasy - czasy dzieciństwa - miały już za sobą. Obecnie cały sens ich egzystencji sprowadzał się do tańca.

A życie rodzinne, na które składało się głównie jedzenie i leniuchowanie, pozostawało w sprzeczności z ich

nową obsesją.

Na tym między innymi polega wyrastanie z dzieciństwa, rozmyślała Plectrude, że człowieka nie cieszy już bliskość Gwiazdki. Coś takiego zdarzyło jej się po raz pierwszy. Miała rację, obawiając się tak bardzo w zeszłym roku ukończenia trzynastu lat. Naprawdę bardzo się zmieniła.

Wszyscy to zauważyli. Uderzyło ich przede wszystkim jej wychudzenie; matka była jedyną osobą, której się to podobało. W oczach Denisa, Nicole, Beatrice oraz Roselyne, którą również zaproszono, nie znalazło jednak uznania.

- Masz twarz jak piąstka.

- Przecież jest tancerką - broniła jej Clemence. - Nie oczekiwaliście chyba, że wróci do nas z pyzatymi policzkami. Wyglądasz ślicznie, kochanie.

79

Oprócz chudości peszyła ich też jeszcze inna głębsza zmiana, której nie bardzo potrafili określić słowem. Lub, co bardzo możliwe, po prostu nie śmieli nazwać jej po imieniu, tak była przygnębiająca: Plectrude straciła wiele ze swej spontaniczności. Zawsze była śmieszką, a teraz brakowało im tej dawnej żywości, do której przywykli.

„To pewnie szok spowodowany powrotem do domu” ~ pomyślał Denis.

Jednak w miarę upływu dni wrażenie to potęgowało się. Plectrude była jakby nieobecna duchem, pozorną serdecznością z trudem maskowała obojętność.

W czasie posiłków zdawała się przeżywać istne katusze. Przyzwyczajeni byli, że zawsze niewiele jadła, ale teraz tte jadła już zupełnie nic; wyczuwało się, że siedzi cała spięta, dopóki nie wstaną od stołu.

Gdyby bliscy Plectrude mogli zobaczyć, co dzieje się w jej głowie, zaniepokoiliby się jeszcze bardziej.

Bo już pierwszego dnia po przyjeździe wszyscy wydali Jej się po prostu otyli. Nawet Roselyne, szczuplutką nastolatkę, uznała za grubasa. Zdumiewało ją, jak w ogóle ^ogą żyć z taką nadwagą.

Ale jeszcze bardziej zdumiewało ją to, że mogą tolerować swoje próżne życie, tę gnuśną i bezcelową rozlazłość, błogosławiła swoją twardą egzystencję i wyrzeczenia, jakie narzucała: ona, Plectrude, przynajmniej do czegoś ciążyła. Nie dlatego, żeby pociągał ją kult cierpienia, ale dlatego, że czuła potrzebę celowości; pod tym względem była już nastolatką.

Roselyne wzięła ją na stronę i zaczęła opowiadać różne klasowe plotki. Podekscytowana chichotała:

80

- Wyobraź sobie, że Vanessa spotyka się teraz z Fredem, tak, tym chłopakiem z trzeciej klasy! Masz pojęcie?

Szybko jednak poczuła się zawiedziona brakiem spodziewanej reakcji.

- Przecież chodziłaś do tej klasy znacznie dłużej ode mnie, nie obchodzi cię, co u nich słychać?

- Nie bierz tego do siebie. Gdybyś tylko wiedziała, jakie to wydaje mi się teraz odległe.

- Nawet Mathieu Saladin? - zapytała Roselyne, domyślna kiedyś, ale już nie teraz.

- Nawet on - odrzekła Plectrude ze znużeniem.

- Kiedyś tak nie było.

- Ale teraz jest.

- Czy w twojej szkole są jacyś chłopcy?

- Nie. Oni mają zajęcia osobno. Nigdy ich nie widzimy.

- Czyli że same dziewczyny? Koszmar!

- Słuchaj, my nie mamy nawet czasu, żeby myśleć o tych sprawach.

Plectrude nie miała odwagi wdawać się w wyjaśnienia na temat przepaści dzielącej te, które ważą powyżej czterdziestu kilogramów, od tych, które ważą poniżej, niemniej coraz wyraźniej czuła, jak bardzo jest ona realna. Co ją mogły obchodzić wszystkie te komiczne szkolne zaloty! A biedna Roselyne budziła w niej politowanie, tym większe, że zaczęła już nosić stanik.

- Chcesz, to ci pokażę.

- Co?

- Stanik. Kiedy mówię, przez cały czas się w niego wgapiasz.

I Roselyne podciągnęła w górę T-shirt. Plectrude aż jęknęła ze zgrozy.

81

Nauczywszy się tańczyć na przekór swoim profesorom, w głębi duszy nauczyła się też żyć na przekór własnej rodzinie. Choć tego głośno nie mówiła, z konsternacją obserwowała swych najbliższych: „Jacy oni sflaczali! Jak bez reszty poddani sile ciężenia. Przecież życie musi być czymś więcej, czymś lepszym niż to, które prowadzą”.

Uważała, że ich egzystencji, odwrotnie niż jej własnej, brakuje kręgosłupa. Wstydziła się za nich. Czasami nawet zastanawiała się, czy przypadkiem nie jest sierotą, którą tylko adoptowali.

- Słuchaj, ja naprawdę się o nią niepokoję. Jest strasznie wychudzona - powiedział Denis.

- I co z tego? Przecież jest baletnicą - odparła Clemence.

- Nie wszystkie baletnice są takie chude jak ona.

- Ma trzynaście lat. W jej wieku to normalne. Uspokojony tym argumentem Denis mógł nareszcie

zasnąć. Rodzice posiadają niebywały dar samooszukiwania się: wychodząc od bezsprzecznego faktu - chudości częściej wśród nastolatek - pominęli cały kontekst. To prawda, że ich córka była z natury swej bardzo szczupła; ale jej obecna chudość wcale naturalna nie była.

Między świętą. Plectrude z niewysłowioną ulgą wróciła do szkoły.

- Czasami mam wrażenie, że straciliśmy dziecko - skarżył się Denis.

- Nie bądź takim egoistą - oponowała Clemence. - Ona jest szczęśliwa.

Myliła się, i to podwójnie. Przede wszystkim dziewczynka wcale nie była szczęśliwa. A poza tym egoizm jej męża był niczym w porównaniu z jej własnym egoizmem;

82

sama pragnęła niegdyś namiętnie zostać baletnicą i wreszcie dzięki Plectrude i za jej pośrednictwem mogła zaspokoić tę ambicję. Nieważne, że na ołtarzu swego ideału poświęcała zdrowie dziecka. Gdyby jej to powiedzieć, otworzyłaby szeroko oczy ze zdumienia i wykrzyknęła:

- Zależy mi wyłącznie na szczęściu córki!

I byłoby to z jej strony absolutnie szczerze. Rodzice często sami nie wiedzą, co skrywa ich szczerłość.

To, co Plectrude przeżywała w szkole baletowej, trudno byłoby nazwać szczęściem, do szczęścia potrzebne jest bowiem minimum poczucia bezpieczeństwa. Dziewczynka nie miała go ani trochę, i tu się nie myliła; na obecnym etapie nie igrała już z własnym zdrowiem, ona własne zdrowie narażała. Wiedziała o tym.

To, co Plectrude przeżywała w szkole baletowej, określić by można mianem upojenia: ekstaza ta karmiła się w ogromnym stopniu zapomnieniem. Zapomnieniem o wyrzeczeniach, o cierpieniach fizycznych, o niebezpieczeństwie, o strachu. Dzięki takim dobrowolnym aktom amnezji mogła się w tańcu zapamiętać i doświadczyć w nim szaleńczego złudzenia, transu wzlatywania w powietrze.

Powoli stawała się jedną z najlepszych uczennic. Nie była wprawdzie najchudsza, ale bezsprzecznie miała w sobie najwięcej wdzięku: posiadała tę cudowną swobodę ruchu, która jest największą niesprawiedliwością natury, jako że z wdziękiem człowiek się rodzi, a jeśli się z nim nie urodził, to żaden późniejszy wysiłek nie zdoła zrekomensować jego braku.

A poza tym, co również wcale nie przeszkadzało, była najładniejsza. Nawet ważąc trzydzieści pięć kilogramów

83

w niczym nie przypominała tych szkieletów, wychwalanych przez profesorów za ich chudość; miała oczy tancerki, które rozświetlały jej twarz niezmiernym pięknem. A nauczyciele wiedzieli, choć nigdy nie powiedzieliby tego swoim uczennicom, że uroda jest ogromnym atutem przy naborze solistek; pod tym względem Plectrude wyprzedzała, i to znacznie, resztę koleżanek.

Po cichu martwiła się jednak swoim zdrowiem. Nikomu o tym nie mówiła, ale nocami nogi bolały ją tak bardzo, że z trudem powstrzymywała płacz. Choć nie miała zielonego pojęcia o medycynie, domyślała się, co było tego powodem: wyeliminowała ze swego pożywienia wszelkie produkty mleczne. Zauważyła bowiem, że wystarczyło jej zjeść kilka łyżeczek chudego jogurtu, żeby potem czuła się „wzdęta” (trzeba było zobaczyć, co nazywała „wzdęciem”).

Tymczasem w szkole chudy jogurt był jedynym dopuszczalnym nabiałem. Wyrzeczenie się go oznaczało całkowite pozbawienie organizmu wapnia, uważanego za budulec okresu dojrzewania. Niezależnie od tego, jak zwariowani byli dorośli w szkole, nikt nie polecał rezygnacji z jogurtu i jadły go nawet najbardziej wychudzone uczennice. Plectrude całkowicie go skreśliła.

Niebawem niedobór wapnia zaczął wywoływać okropne bóle nóg w czasie tych krótkich godzin, kiedy dziewczynka pozostawała w bezruchu, czyli nocą. By umniejszy cierpienie, należało wstać i chodzić. Jednak chwila, gdy nogi zaczynały się poruszać, była męką na miarę tortury; Plectrude przygryzała chusteczkę, żeby nie krzyknąć. Za każdym razem wydawało jej się, że jeszcze chwila, a pęknie jej jakaś kość w udzie czy w łydce.

Wtedy zrozumiała, że powodem tych kłopotów jest odwapnienie. Mimo to nie mogła się zmusić do przełknięcia

84

tego przeklętego jogurtu. Nie wiedziała, że stała się ofiarą wewnętrznego mechanizmu anoreksji, który każe uważać każde wyrzeczenie za ostateczne, pozostawiając jedynie miejsce na nieznośne poczucie winy.

Straciła kolejne dwa kilogramy, co tylko upewniło ją w przekonaniu, że chudy jogurt jest „kaloryczny”. Podczas przerwy wielkanocnej ojciec powiedział jej, że zaczyna przypominać kościotrupa i wygląda okropnie, lecz matka szybko go uciszyła, rozpluwając się nad urodą córki. Clemence była jedynym członkiem rodziny, z którym kontakt sprawiał Plectrude jeszcze przyjemność: „Przynajmniej ona mnie rozumie”. Siostry, a nawet Rose-lyne patrzyły na nią jak na kogoś obcego. Nie należała już do ich paczki: nie poczuwały się do żadnej wspólnoty z tym workiem kości.

Zszedłszy poniżej trzydziestu pięciu kilogramów, mała baletnica jeszcze bardziej uczuciowo zobojętniała. Nie bolało ją więc to wykluczenie.

Plectrude uwielbiała swoje życie: czuła się niczym ostatnia heroina walki z siłami ciężkości. Jej orężem w tej walce były post i taniec.

Graalem był wzlot w powietrze; spośród wszystkich rycerzy Plectrude była najbliższa celu, miała najwięcej szans, by go osiągnąć. Cóż znaczyły te nocne cierpienia w obliczu bezmiaru jej pogoni za nim?

Mijały miesiące i lata. Tancerka zasymilowała się ze swoją szkołą niczym karmelitka ze swoim zakonem. Poza jej murami znikąd zbawienia.

Wyrastała na gwiazdę. Wiedziała, że tam w górze się o niej mówi.

85

Skończyła piętnaście lat. Nadal miała metr pięćdziesiąt pięć wzrostu, co oznacza, że od chwili przyjścia do szkoły nie urosła nawet o pół centymetra. Ważyła trzydzieści dwa kilogramy. Chwilami wydawało jej się, że nigdy nie znała innego życia. I miała nadzieję, że to, które prowadzi, nigdy się nie zmieni. Podziw innych, rzeczywisty lub wyobrażony, był dla niej wystarczającym oparciem emocjonalnym.

Wiedziała też, że matka kocha ją namiętnie. Choć się do tego nie przyznawała, świadomość tej miłości była dla niej prawdziwą ostoją. Pewnego dnia wspomniała Clemence o swoich problemach z nogami. Ta zawołała tylko:

- Jesteś taka dzielna!

Plectrude ogromnie ucieszył ten komplement. W głębi duszy czuła jednak, że od rodzonej matki powinna była usłyszeć zupełnie inne słowa. Ale jakie? Nie wiedziała.

Aż w końcu stało się to, co musiało się stać. Któregoś listopadowego poranka, wstając z łóżka i przygryzając chusteczkę, żeby nie jęczeć z bólu, Plectrude upadła; usłyszała trzask pękającej kości w udzie.

Nie była w stanie się poruszyć. Zawołała o pomoc. Zawieziono ją do szpitala.

Lekarz, zanim do niej poszedł, obejrzał jej zdjęcia rentgenowskie.

- Ile ta kobieta ma lat?

- Piętnaście.

- Co takiego?! Ma kości sześćdziesięciolatki po meno-pauzie!

Poddano ją przesłuchaniu, a wtedy wyjawiała, w czym rzecz: od dwóch lat, więc w wieku kiedy organizm najbardziej tego potrzebuje, nie przyjmowała żadnego nabiału.

86

- Jesteś anorektyczką?

- Ależ skąd! - oburzyła się szczerze.

- I uważasz za normalne, żeby w tym wieku ważyć tylko trzydzieści kilo?

- Trzydzieści dwa! - sprostowała.

- Myślisz, że to cokolwiek zmienia? Plectrude uciekła się do argumentów Clemence:

- Jestem tancerką. W moim zawodzie krągłości nie są pożądane.

- Nie wiedziałem, że tancerki rekrutuje się w obozach koncentracyjnych.

- Pan oszalał! Obraża pan moją szkołę!

- A twoim zdaniem można nazwać szkołą placówkę, w której pozwala się nastolatce na taką autodestrukcyjność? Zawiadomię policję - oznajmił lekarz, którego niełatwo było zastraszyć.

Plectrude instynktownie stanęła w obronie swojego zakonu:

- Proszę, nie! To moja wina. Sama postanowiłam wyrzec się nabrać. Nikt o tym nie wiedział.

- Bo nikt nie chciał wiedzieć. A skutek tego jest taki, że wystarczyło ci się przewrócić, żeby złamać piszczel. W normalnej sytuacji miesiąc w gipsie załatwiłby sprawę. Ale w twoim stanie, nie wiem, jak długo będziesz musiała go nosić. Nie mówiąc już o późniejszej rehabilitacji.

- Czy to znaczy, że przez dłuższy czas nie będę mogła tańczyć?

- Miła moja, ty już nigdy nie będziesz mogła tańczyć. Serce Plectrude zamarło. Zapadła w stan przypominający śpiączkę.

87

Po kilku dniach odzyskała przytomność. Gdy tylko ów błogosławiony moment całkowitego zapomnienia minął, przypomniała sobie, co ją spotkało. Sympatyczna pielęgniarka-potwierdziła wyrok:

- Twój kościec uległ zbyt poważnym uszkodzeniom, zwłaszcza kości nóg. Nawet kiedy noga się zrośnie i tak nie będziesz mogła wrócić do tańca. Gdyż najmniejszy wyskok, najmniejszy wstrząs mogą spowodować kolejne złamanie. Będziesz potrzebowała długich lat faszeringowania się nabiałem, żeby uzupełnić niedobór wapnia.

Oznajmić Plectrude, że już nigdy nie będzie tańczyć, to tak jak oznajmić Napoleonowi, że już nigdy nie będzie miał własnej armii; oznaczało to odebranie jej nie tylko powołania, ale w ogóle przyszłości.

Nie mogła uwierzyć. Zasypywała pytaniami wszystkich możliwych lekarzy; żaden nie pozostawił jej bodaj cienia nadziei. Tylko im tego pogratulować: wystarczyłoby, żeby któryś dał jej choć jedną setną szansę na wyzdrowienie, a uczepliłaby się tego tak, że przyplącałaby to życiem.

Po upływie kilku dni Plectrude zdziwiła się, że nie ma przy niej Clemence. Zażądała telefonu. Wtedy usłyszała od ojca, że na wieść o jej strasznym wypadku matka ciężko się rozchorowała:

- Gorączkuje, majaczy. Wydaje jej się, że jest tobą. Mówi: „Mam tylko piętnaście lat, to niemożliwe, żeby to miał być koniec moich marzeń, i tak będę tancerką, nie mogę być nikim innym, jak tylko tancerką!”.

Myśl o cierpieniu Clemence zupełnie dobiła Plectrude. Leżąc na szpitalnym łóżku, wpatrywała się w kroplówkę, do której ją podłączono; była święcie przekonana, że wprowadza ona w jej żyły nie pokarm, lecz nieszczęście.

88

Dopóki Plectrude nie wolno było wykonać najmniejszego ruchu, pozostawała w szpitalu. Od czasu do czasu odwiedzał ją ojciec. Pytała, dlaczego nie przychodzi Clemence.

- Matka jest wciąż zbyt chora - odpowiadał. Trwało to całymi miesiącami. Nikt inny - ani ze szkoły

baletowej, ani z rodziny, ani z jej dawnego gimnazjum - jej nie odwiedził, tak jakby Plectrude nie należała już do żadnego z tych światów.

Czas płynął, ona zaś trwała w całkowitej beczynności. Nie chciała czytać ani książek, ani czasopism. Odmawiała oglądania telewizji. Stwierdzono u niej głęboką depresję.

Nie mogła nic przełknąć. Bogu dzięki, że była kroplówka. Wzbudzała jednak w niej odrazę: była czymś, co wbrew jej woli utrzymywało ją przy życiu.

Z nadejściem wiosny przewieziono ją do domu rodziców. Serce biło jej mocno na myśl, że zobaczy matkę; jednak nie pozwolono jej na to. Plectrude uniosła się gniewem:

- To niesłychane! Umarła czy co?

- Nie umarła. Ale nie chce, żebyś oglądała ją w takim stanie.

To już było ponad jej siły. Poczekwała, aż siostry pójdą do szkoły, a ojciec do pracy, i wstała z łóżka: mogła się już poruszać o kulach.

Pokuśtykała do sypialni rodziców, gdzie leżała Clemence pogrążona we śnie. Ujrzawszy ją, dziewczynka pomyślała, że matka nie żyje; miała poszarzałą skórę i wydawała się jeszcze bardziej wychudzona od niej. Plectrude opadła z płaczem obok matki, wołając:

- Mamo! Mamusiu!

Śpiąca kobieta obudziła się i powiedziała:

89

- Nie wolno ci tu przychodzić.

> Kiedy tak strasznie chciałam cię zobaczyć. Zresztą już się stało i tak jest lepiej, bo przynajmniej wiem, co się z tobą dzieje. Najważniejsze, że żyjesz, reszta się nie liczy. Znowu zaczniesz jeść i poczujesz się lepiej; razem będziemy wracały do zdrowia, mammo.

Zauważyła, że matka pozostała niewzruszona i że jej nie uściskała.

- Przytul mnie, mamusiu, tak bardzo tego potrzebuję! Clemence nawet nie drgnęła.

- Biedna mama, nawet na to jesteś za słaba. Wyprostowała się i przyjrzała matce. Jakże się zmieniła!

W jej oczach nie było już nawet odrobiny ciepła. Coś w niej umarło; Plectrude nie chciała jednak przyjąć tego do wiadomości.

Powiedziała sobie: „Mama identyfikuje się ze mną. Przestała jeść, boja przestałam jeść. Jeśli znów zacznę, ona też będzie jadła. Jeśli wyzdrowieję, wyzdrowieje i ona”.

Dziewczynka powlokła się do kuchni i wzięła tabliczkę czekolady. Następnie wróciła do sypialni Clemence, usiadła obok jej łóżka i powiedziała:

- Spójrz, mamusiu, ja jem.

Czekolada wywołała szok w jej ustach odwykłych od przyjmowania pokarmów, a co dopiero tak kalorycznych słodczy. Starła się jednak przemóc i nie pokazać, jak jej niedobrze.

- To czekolada mleczna, mamusiu, ma w sobie mnóstwo wapnia. Jest dobra dla mnie.

Więc na tym polegało jedzenie? Skręcały jej się wnętrzności, żołądek odmawiał posłuszeństwa; Plectrude poczuła, że za chwilę straci przytomność, ale nie zemdląła, tylko zwymiotowała - na własne kolana.

90

Upokorzona, zrozpaczona wpatrywała się bez ruchu w to, co narobiła.

A wtedy matka oschłym głosem odezwała się:

- Brzydzę się tobą.

Dziewczynka napotkała lodowaty wzrok kobiety, z której ust padły te okrutne słowa. Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała i zobaczyła. Uciekła najszybciej, jak tylko pozwalały jej kule.

Padła na łóżko i rozpaczliwie się rozszlochała. W końcu zasnęła. Kiedy się obudziła, poczuła rzecz niesamowitą: była głodna.

Poprosiła Beatrice, która tymczasem wróciła ze szkoły, żeby jej przyniosła coś do jedzenia.

- Hurrra! - klasnęła w ręce siostra i nie zwlekając, przyniosła jej pieczywo, ser, kompot, szynkę i czekoladę. Tej ostatniej, która za bardzo przypominała jej niedawną niemłą przygodę, Plectrude nie tknęła; pochłonięła za to całą resztę. Beatrice nie posiadała się z radości. Siostrze powrócił apetyt. Nie była to bulimia, tylko zdrowy, wilczy głód. Zjadała trzy obfite posiłki dziennie, wykazując szczególną predylekcję do serów, tak jakby ciało samo jej podpowiadało, czego najbardziej potrzebuje. Ojciec i siostry byli zachwyceni. Przy takiej diecie szybko przybierała na wadze. Wróciła do czterdziestu kilogramów i odzyskała swoją piękną buzię. Wszystko zmierzało ku najlepszemu. Zdołała nawet stłumić w sobie poczucie winy, co u byłej anorektyczki zdarza się niezmiernie rzadko.

91

Jak przewidywała, jej powrót do zdrowia uzdrowił również matkę. Clemence opuściła nareszcie swój pokój i ujrzała córkę, której nie widziała od dnia, kiedy ta zwymiotowała.

Skonsternowana popatrzyła na nią i zawołała:

- Utyłaś!

- Tak, mamu - wyjąkała dziewczynka.

- Co to za pomysł! Przedtem wyglądałaś tak ładnie!

- Uważasz, że teraz ładnie nie wyglądam?

- Nie. Jesteś gruba.

- Ależ mamu! Ważę tylko czterdzieści kilo.

- A nie mówiłam? Utyłaś, i to osiem kilo.

- Kiedy musiałam!

- Tak sobie tylko wmawiasz, żeby mieć czyste sumienie. Potrzebowałam wapnia, a nie tuszy.

W tym stanie raczej nie wyglądasz na tancerkę!

- Ależ mamusi, przecież nie będę już tańczyć! Już nie jestem tancerką. Gdybyś tylko wiedziała, jak z tego powodu cierpię. Proszę cię, nie rozdrapuj na nowo tej rany!

- Gdybyś naprawdę cierpiała, nie miałabyś takiego apetytu.

Najgorszy był zimny głos, którym kobieta rzuciła jej w twarz te słowa.

- Dlaczego tak do mnie mówisz? Czy nie jestem już twoją córką?

- Nigdy nie byłaś moją córką.

I Clemence wszystko jej powiedziała: o Lucette, o Fa-bienie, o tym, jak Lucette zamordowała Fabiena, o tym, jak Plectrude urodziła się w więzieniu, o samobójstwie Lucette.

92

- Co ty mówisz? - jęczała Plectrude.

- Skoro mi nie wierzysz, zapytaj swego ojca, a właściwie wujka.

Gdy tylko minęło pierwsze uczucie niedowierzania, Plectrude zdołała wydusić:

- Dlaczego mówisz mi to akurat teraz?

- Kiedyś musiałam.
- Oczywiście. Ale czemu w tak okrutny sposób? Zawsze byłaś dla mnie najwspanialszą z matek. A teraz mówisz do mnie tak, jakbym nigdy nie była twoją córką.
- Mówię tak, ponieważ mnie zdradziłaś. Sama najlepiej wiesz, jak bardzo zależało mi na tym, żebyś została tancerką.
- Przecież to był wypadek! Nie z mojej winy.
- Właśnie że z twojej! Nie doszłoby do niego, gdybyś się tak idiotycznie nie odwapniła!
- Przecież ci mówiłam, jakie mam bóle w nogach!
- Nieprawda!
- Właśnie że tak, mówiłam ci. Nawet mnie pochwaliłaś, że jestem taka dzielna.
- Kłamiesz! »
- Nie kłamie! Uważasz, że to normalne, żeby matka chwaliła własną córkę za to, że ją bolałogi? To było wołanie o pomoc, ale ty nawet nie słuchałaś.
- No właśnie, a teraz jeszcze powiedz, że to przeze mnie. Hipokryzja Clemence odebrała Plectrude mowę.

Wszystko się waliło; nie miała już przyszłości, nie miała rodziców, nie miała nic.

Denis był człowiekiem miłym, ale słabym. Clemence przykazała mu, żeby przestał wreszcie gratulować Plectrude odzyskania apetytu:

93

- Na Boga, nie zachęcaj jej do tycia!
 - Przecież nie jest gruba - wyjąkał Denis. - No, może trochę przy kości.
- To „trochę przy kości” uświadomiło Plectrude, że straciła sojusznika. Powiedzieć dziewczynie piętnastoletniej, że jest gruba czy „trochę przy kości” w sytuacji, kiedy waży czterdzieści kilogramów, to tak jakby zabronić jej rosnać. W obliczu takiej klęski ma ona do wyboru tylko dwie możliwości: wrócić do anoreksji lub popaść w bulimię. Cudem jakimś Plectrude uniknęła jednego i drugiego. Zachowała apetyt. Zdarzały jej się ataki wilczego głodu, które każdy lekarz uznałby za zbawienne, a które Clemence uważała za „makabryczne”.

W rzeczywistości to znakomite zdrowie dziewczyny powodowało, że miała taki apetyt; musiała nadrobić zaległości długich lat dzieciństwa. Dzięki swojemu upodobaniu do serów urosła trzy centymetry. Dla dorosłego metr pięćdziesiąt osiem to mimo wszystko lepsze niż tylko metr pięćdziesiąt pięć.

W wieku lat szesnastu dostała okres. Pobiegła podzielić się tą szczęśliwą nowiną z Clemence. Ta tylko wzruszyła ramionami ze wzgardą.

- Nie cieszysz się, że nareszcie jestem normalna?
- Ile teraz ważysz?
- Czterdzieści osiem kilo.
- Tak też myślałam, jesteś otyła.
- Uważasz za otyłość czterdzieści osiem kilo przy wzroście metr pięćdziesiąt osiem?
- Spójrz prawdzie w oczy: jesteś gruba jak prosię.

94

Plectrude, która w pełni odzyskała już władzę w nogach, uciekła i rzuciła się na łóżko. Nie płakała; poczuła przypływ nienawiści, która nie odstępowała jej przez długie godziny. Waliała pięścią w poduszkę, a głos w jej duszy krzyczał: „Ona chce mnie zabić! Własna matka chce mnie zabić!”.

Gdyż nigdy nie przestała uważać Clemence za swoją matkę; nieważne, czy to ona, czy nie ona wydała ją na świat. Była jej matką, bo tak naprawdę to ona obdarowała ją życiem - a teraz ta sama osoba chciała jej je odebrać.

Niejedna nastolatka na miejscu Plectrude popełniłaby samobójstwo. W niej jednak instynkt przeżycia musiał być piekielnie silny, ponieważ w końcu podniosła się i z całym spokojem głośno powiedziała:

- Nie pozwolę, żebyś mnie zabiła, mamó.

Wzięła się w garść - na tyle, na ile było to możliwe w przypadku szesnastoletniej dziewczyny, która wszystko straciła. Ponieważ matka postradała zmysły, więc zamiast matki ona, Plectrude, musi być dorosła.

Zapisała się na kurs aktorski. Wywołała na nim wielką sensację, do czego w niemałym stopniu przyczyniło się jej imię. Imię Plectrude było jak nóż z podwójnym ostrzem: u dziewczyny brzydkiej podkreśliłoby tylko brzydotę, dziewczynie pięknej swym osobliwym brzmieniem dodawało urody.

Tak było w jej przypadku. Już samo pojawienie się tej nastolatki o niezwykłych oczach i postawie tancerki wywołało poruszenie wśród obecnych. A kiedy usłyszeli, jak ma na imię, jeszcze uważniej zaczęli jej się przyglądać, podziwiając jej piękne włosy, pełne dramatycznej

95

ekspresji rysy, bezbłędny wykrój ust, nieskazitelnie gładką skórę.

Jej profesor orzekł, że posiada „twarz” (dziwne określenie, pomyślała, „twarz” mają przecież chyba wszyscy?), i doradził, żeby spróbowała sił na castingach.

Tym sposobem wybrano ją do roli Geraldine Chaplin jako nastolatki w jednym z filmów telewizyjnych; na jej widok aktorka zawołała: „Ja w jej wieku nie byłam taka piękna!”.

Trudno było jednak nie dostrzec pewnego podobieństwa tych dwóch tak niezwykle szczupłych twarzy. Tego typu chałtury przynosiły Plectrude trochę pieniędzy, niestety nie tyle, by mogła wyprowadzić się od matki, co stało się „, „, głównym celem. Wieczorami starała się jak najpóźniej wracać do domu, byle tylko nie natknąć się na Clemence. Nie zawsze to było możliwe, a wtedy witało ją:

- Oto jest nasza Kuleczka! W najlepszym wypadku. Bo w najgorszym słyszała:

- Dobry wieczór, Tłuszciochu! Trudno zrozumieć, dlaczego te surrealistyczne odzywki sprawiały jej aż taką przykrość, trudno, ponieważ nie widziało się pełnej niesmaku miny, z jaką Clemence serwowała te komentarze.

Pewnego dnia Plectrude zdobyła się na odwagę i zarepli-kowała, że ważąca siedem kilo więcej od niej Beatrice nigdy nie słyszy tak uwłaczających uwag. Na co matka odparła: - Dobrze wiesz, że to nie ma nic do rzeczy. Nie miała śmiałości odpowiedzieć, że nie, wcale nie wie. Jedyne, co zrozumiała, to to, że siostra ma prawo być normalna, a ona nie.

96

Pewnego wieczoru Plectrude nie mogła nic wymyślić, by wykręcić się od kolacji z rodziną, a ponieważ za każdym razem, kiedy podnosiła jedzenie do ust, Clemence robiła zgorzowaną minę, w końcu wybuchła:

- Przestań tak na mnie patrzeć, mamó! Nigdy nie widziałaś jedzącego człowieka?

- To dla twojego dobra, kochanie. Niepokoi mnie ta twoja bulimia!

- Bulimia!

Plectrude popatrzyła z uwagą na ojca, potem na siostry, po czym stwierdziła:

- Jesteście zbyt wielkimi tchórzami, żeby mnie wziąć w obronę!

Ojciec wyjąkał:

- Mnie osobiście nie przeszkadza twój dobry apetyt.

- Tchórz! - krzyknęła dziewczyna. - I tak jem mniej od ciebie.

Nicole wzruszyła ramionami.

- Mam w nosie te wasze wygłupy.

- Po tobie i tak niczego się nie spodziewałam - warknęła Plectrude.

Beatrice głośno westchnęła i powiedziała:

- Mamó, wołałabym, żebyś dała spokój mojej siostrze, dobrze?

- Dziękuję - powiedziała Plectrude.

Ale w tym momencie Clemence uśmiechnęła się, po czym oznajmiła:

- Plectrude nie jest twoją siostrą, Beatrice.

- Co ty opowiadasz?

- Sądzisz, że to odpowiednia chwila? - mruknął Denis. Matka wstała, przyniosła jakieś zdjęcie i rzuciła je

na stół.

97

- Oto Lucette, moja siostra; to ona jest prawdziwą matką Plectrude.

W czasie, kiedy relacjonowała całą historię Nicole i Beatrice, Plectrude sięgnęła po zdjęcie i jęła z zachłannością opatrywać się w piękną twarz zmarłej.

Siostry oniemiały ze zdumienia.

- Jestem do niej podobna - stwierdziła Plectrude. Pomyślała, że jej matka odebrała sobie życie, mając

dwadzieścia lat, i że ją czeka podobny los: „Mam szesnaste lat. Zostało mi jeszcze trzy lata życia i urodzenie dziecka”.

Od tej pory Plectrude zaczęła przyglądać się rozlicznym kręcącym się wokół niej chłopcom wzrokiem nad Mek dojrzałym. Patrząc na nich, nie mogła się powstrzymać od pytania: „Czy chciałabym, żeby to on był ojcem Mojego dziecka?”.

Najczęściej wewnętrzny głos odpowiadał jej, że nie, tak bardzo wydawało jej się nie do pomyślenia, że mogłaby mieć dziecko z którymkolwiek z tych lalusiów.

Na zajęciach aktorskich profesor postanowił, że Plectrude wraz z jednym z kolegów wystąpią w scenie z Łysej śpiewaczki. Tekst sztuki do tego stopnia zaintrygował dziewczynę, że zdobyła komplet dzieł Ionesco. A wtedy Przeżyła objawienie: nareszcie było jej dane doświadczyć tej gorączki, która każe spędzać całe noce na czytaniu.

Nieraz już próbowała zabrać się do lektury, ale książki Wypadały jej z ręki. Z pewnością każdy człowiek ma w świecie literatury dzieło, które przekształci go w czytelnika, pod tym jednak warunkiem, że los ich z sobą zetknie. To, co Platon mówi o zakochanej połowce, owym drugim ja, które gdzieś tam krąży i trzeba je tylko spot-

98

kać, w przeciwnym bowiem razie do końca swoich dni pozostanie się istotą niepełną, jest jeszcze bardziej prawdziwe w przypadku książek.

„Ionesco to autor, który był mi pisany” - pomyślała dziewczyna. Jego lektura dostarczała jej wielkiego szczęścia, tego upojenia, w jakie może wprawić jedynie odkrycie ukochanej książki.

Zdarza się czasami tak, że pierwsza literacka fascynacja może u danej osoby rozbudzić trwałe zamiłowanie do lektury; tak się jednak nie stało w przypadku Plectrude, która sięgała po inne książki po to tylko, by przekonać się, że są nudne. Postanowiła więc nie czytać innych autorów, dumna ze swej lojalności.

Pewnego wieczoru oglądając telewizję odkryła Catherine Ringer. Kiedy słuchała, jak śpiewa, poczuła namiętny zachwyt zaprawiony goryczą; zachwyt, bo jej zdaniem była niesamowita; gorycz, bo właśnie o czymś takim marzyłaby dla siebie, tymczasem nie miała ani umiejętności, ani środków, ani zielonego pojęcia o śpiewie.

Gdyby była jedną z tych dziewcząt, które co tydzień zmieniają zainteresowania, nie miałoby to większego znaczenia. Ale ona była inna. W wieku siedemnastu lat niewiele rzeczy było w stanie rozniecić w niej entuzjazm. Kurs aktorski niespecjalnie ją interesował. Oddałaby duszę diabłu, byle móc znowu tańczyć, ale lekarze, choć stwierdzili wyraźną poprawę stanu kości, jednogłośnie sprzeciwiali się jej powrotowi do tańca.

Odkrycie Catherine Ringer wstrząsnęło nią tak bardzo, ponieważ po raz pierwszy w życiu obudziło w niej marzenie o czymś innym niż taniec.

- Oto Lucette, moja siostra; to ona jest prawdziwą matką Plectrude.

W czasie, kiedy relacjonowała całą historię Nicole i Bea-trice, Plectrude sięgnęła po zdjęcie i jęła z zachłannością wpatrywać się w piękną twarz zmarłej.

Siostry oniemiały ze zdumienia.

- Jestem do niej podobna - stwierdziła Plectrude. Pomyślała, że jej matka odebrała sobie życie, mając

dziewiętnaście lat, i że ją czeka podobny los: „Mam szesnaście lat. Zostało mi jeszcze trzy lata życia i urodzenie dziecka”.

Od tej pory Plectrude zaczęła przyglądać się rozlicznym kręcącym się wokół niej chłopcom wzrokiem nad wiek dojrzałym. Patrząc na nich, nie mogła się powstrzymać od pytania: „Czy chciałabym, żeby to on był ojcem mojego dziecka?”.

Najczęściej wewnętrzny głos odpowiadał jej, że nie, tak bardzo wydawało jej się nie do pomyślenia, że mogłaby mieć dziecko z którymkolwiek z tych lalusiów.

Na zajęciach aktorskich profesor postanowił, że Plectrude wraz z jednym z kolegów wystąpią w scenie z Łysej śpiewaczki. Tekst sztuki do tego stopnia zaintrygował dziewczynę, że zdobyła komplet dzieł Ionesco. A wtedy przeżyła objawienie: nareszcie było jej dane doświadczyć tej gorączki, która każe spędzać całe noce na czytaniu.

Nieraz już próbowała zabrać się do lektury, ale książki wypadały jej z ręki. Z pewnością każdy człowiek ma w świecie literatury dzieło, które przekształci go w czytelnika, pod tym jednak warunkiem, że los ich z sobą zetknie. To, co Platon mówi o zakochanej połówce, owym drugim ja, które gdzieś tam krąży i trzeba je tylko spot-

kać, w przeciwnym bowiem razie do końca swoich dni pozostanie się istotą niepełną, jest jeszcze bardziej prawdziwe w przypadku książek.

„Ionesco to autor, który był mi pisany” - pomyślała dziewczyna. Jego lektura dostarczała jej wielkiego szczęścia, tego upojenia, w jakie może wprawić jedynie odkrycie ukochanej książki.

Zdarza się czasami tak, że pierwsza literacka fascynacja może u danej osoby rozbudzić trwałe zamiłowanie do lektury; tak się jednak nie stało w przypadku Plectrude, która sięgała po inne książki po to tylko, by przekonać się, że są nudne. Postanowiła więc nie czytać innych autorów, dumna ze swej lojalności.

Pewnego wieczoru oglądając telewizję odkryła Catheri-ne Ringer. Kiedy słuchała, jak śpiewa, poczuła namiętny zachwyt zaprawiony goryczą; zachwyt, bo jej zdaniem była niesamowita; gorycz, bo właśnie o czymś takim marzyłaby dla siebie, tymczasem nie miała ani umiejętności, ani środków, ani zielonego pojęcia o śpiewie.

Gdyby była jedną z tych dziewcząt, które co tydzień zmieniają zainteresowania, nie miałoby to większego znaczenia. Ale ona była inna. W wieku siedemnastu lat niewiele rzeczy było w stanie rozniecić w niej entuzjazm. Kurs aktorski niespecjalnie ją interesował. Oddałaby duszę diabłu, byle móc znowu tańczyć, ale lekarze, choć stwierdzili wyraźną poprawę stanu kości, jednogłośnie sprzeciwiali się jej powrotowi do tańca.

Odkrycie Catherine Ringer wstrząsnęło nią tak bardzo, ponieważ po raz pierwszy w życiu obudziło w niej marzenie o czymś innym niż taniec.

Pocieszała się myślą, że za dwa lata umrze, a przedtem musi jeszcze urodzić dziecko: „Nie wystarczy mi czasu, żeby zostać piosenkarką”.

Na kursie aktorskim Plectrude miała wystąpić we fragmencie Lekcji Ionesco. Dla aktora otrzymanie jednej z głównych ról w sztuce ukochanego autora to najwyższa rozkosz i satysfakcja, a zarazem pułapka i niebezpieczeństwo.

Niesłuszne byłoby stwierdzenie, że stała się młodą uczennicą ze sztuki. Ona zawsze grała tę rolę; dziewczyny, która z takim zapalem zgłębia wybrane praktyki, że aż w końcu wypacza ich sens i obraca wniwecz - naturalnie przy pełnym poparciu i zachęcie profesora, wielkiego przeżuwaacza wiedzy i studentów.

Była uczennicą z tak wielkim wyczuciem sakrum, że udzieliło się to drugiej stronie i ten, który otrzymał rolę nauczyciela, naturalną kolejną rzeczą stał się wybrankiem Plectrude. Podczas próby, gdy wygłaszał swoją kwestię, skądinąd porażająco prawdziwą („Filologia prowadzi do zbrodni”), odpowiedziała mu, że zostanie ojcem jej dziecka. Sądził, że to gra słowna godna Łysej śpiewaczki, i zgodził się. Jeszcze tej samej nocy postawiła na swoim. Po miesiącu Plectrude wiedziała już, że jest w ciąży. Oto ostrzeżenie dla tych, o ile takowi istnieją, którzy dotąd uważali Ionesco głównie za autora satyrycznego.

Plectrude urodziła dziecko w tym samym wieku co jej matka - mając dziewiętnaście lat. Noworodek dostał na imię Simon. Był dzieckiem pięknym i zdrowym.

Biorąc go w ramiona, dziewczyna poczuła niesamowity przypływ miłości. Nigdy by się nie podejrzewała o aż tak silny instynkt macierzyński i ubolewała nad tym: „Niełatwo mi będzie odebrać sobie życie”.

Mimo to zdecydowana była zrealizować swój plan do końca: „Już i tak poszłam na ustępstwo wobec losu, rezygnując z zabicia ojca Simona. Ale jeśli idzie o mnie, nie odstąpię”.

Kołysząc dziecko w ramionach, szeptała:

- Kocham cię, dziecinko, kocham cię. Umrę, bo muszę umrzeć. Gdyby wybór należał do mnie, zostałabym z tobą. Ale muszę umrzeć; to rozkaz, czuję to.

Po upływie tygodnia zadecydowała: „Teraz albo nigdy. Żyjąc dłużej, za bardzo przywiążę się do Simona. Im dłużej będę zwlekać, tym będzie to trudniejsze”.

Nie napisała żadnego listu, z tej prostej przyczyny, że nie lubiła pisać. Zresztą i tak to, co zamierzała zrobić, wydawało jej się na tyle czytelne, że nie widziała potrzeby żadnych wyjaśnień.

101

Ponieważ czuła, że brakuje jej odwagi, postanowiła włożyć swój najpiękniejszy strój, zauważyła bowiem, że elegancja dodaje odwagi.

Dwa lata wcześniej kupiła na pchlim targu szatę baśniowej arcyksiężniczki, z ciemnogrnatowego aksamitu, ozdobioną koronkami barwy starego złota, tak strojną, że właściwie nie do noszenia.

„Jeśli nie założę jej dzisiaj, nie założę już nigdy” - pomyślała i roześmiała się, kiedy dotarła do niej głęboka prawdziwość tej myśli.

W czasie ciąży nieco schudła i suknia na niej wisiała. Rozpuściła swoje piękne włosy, tak że opadały jej do samego pasa. Nałożywszy na twarz makijaż godny tragicznej czarodziejki, uznała, że wygląda pięknie i teraz może już bez wstydu popełnić samobójstwo.

Ucałowała Simona. Opuszczając mieszkanie, zastanowiła się, jak ma je popełnić: rzucić się pod pociąg czy pod samochód, czy skoczyć do Sekwany? Dotąd nie zadawała sobie takiego pytania: „To się okaże” - pomyślała. - Zaprzatając sobie głowę takimi drobiazgami, nie robi się w końcu nic”.

Powędrowała na dworzec. Zabrakło jej jednak odwagi, by rzucić się pod koła kolejki podmiejskiej. „Skoro umierać, to tylko w Paryżu i w sposób jak najbardziej estetyczny” - powiedziała sobie z niejakim wyczuciem konwenansu. Wsiadła więc do pociągu; podróżujący nim mieszkańcy przedmieścia nigdy w życiu nie widzieli jeszcze tak niezwykle wyglądającej pasażerki, w dodatku uśmiechniętej od ucha do ucha: perspektywa samobójstwa wprawiała ją w znakomity humor.

102

Wysiadła w śródmieściu i ruszyła nabrzeżem Sekwany, rozglądając się za miejscem najlepiej nadającym się do tego, co zamierzała zrobić. Nie mogąc się zdecydować, który most wybrać: Aleksandra III, Pont des Arts czy Pont-Neuf, długo między nimi krążyła, roztrząsając ich plusy i minusy. Ostatecznie wyeliminowała most Aleksandra III z racji jego przesadnego przepychu, jak i Pont des Arts z powodu jego nadmiernej ustronności. Wybór padł na Pont-Neuf, który urzekł ją zarówno tym, że był taki stary, jak również platformami w kształcie półksiężyców, idealnie nadającymi się do chwili przedśmiertnej zadumy. Na widok pięknej dziewczyny mężczyźni i kobiety oglądali się, gdy przechodziła; ona jednak była tego całkowicie nieświadoma, tak bardzo pochłaniała ją to, co zamierzała zrobić. Od czasów dzieciństwa nie odczuwała podobnej euforii.

Przysiadłszy na brzegu mostu, zwiesiła nogi nad przepaścią. Wiele osób siadywało w takiej pozycji, nie zwracała więc niczyjej uwagi. Rozejrzała się wokół. Nad Notre-Dame zwiśla ciężko ołowiane niebo, wody Sekwany marszczył wiatr. Nagle Plectrude uderzyło, jak stary jest ten świat: czym jest jej dziewiętnaście lat wobec całych stuleci Paryża! Poczowała zawrót głowy i jej uniesienie opadło; ta wielkość wszystkiego, co trwa, ta wieczność, której częścią już nigdy nie będzie! Wydała na świat dziecko, które nie będzie jej nawet pamiętało. Poza tym nic. Jedyną osobą, którą darzyła prawdziwą miłością, była matka; odbierając sobie życie, usłucha tej, która jej już nie kocha. „Nieprawda, jest jeszcze Simon. Kocham go. Biorąc jednak pod uwagę, ile krzywdy może wyrządzić matczyzna miłość, lepiej będzie, jeśli mu jej oszczędzę”. W dole przyzywała ją do siebie przepastna otchłań rzeki.

„Dlaczego czekałam tak długo, by poczuć, czego mi brakuje? Moje życie jest głodne i spragnione, nie przeżyłam nic z tego, co karmi i użyźnia egzystencję, serce mam oschłe, umysł wyjałowiony, a w miejsce duszy jedną wielką pustkę; czy w takim stanie można rozstawać się ze światem?”

Pod nią kotłowała się nicość. Pytanie to ją przytłaczało; kusiło ją, żeby od niego uciec, przerzucając ciężar z głowy na nogi.

I w tym właśnie momencie dobiegło ją z oddali czyjeś wołanie:

- Plectrude!

„Kto mnie przyzywa: martwi czy żywi?” - przemknęło jej przez myśl.

Wychyliła się do przodu, tak jakby chciała wypatrzeć kogoś w wodzie. Krzyk przybrał na sile:

- Plectrude!

Był to głos mężczyzny.

Odwróciła się w stronę, skąd dobiegało wołanie.

Tego akurat dnia Mathieu Saladin poczuł niezrozumiałą potrzebę opuszczenia siedemnastej dzielnicy, w której mieszkał, i wybrania się na spacer nad Sekwanę.

Rozkoszował się właśnie tym łagodnym, pochmurnym dniem, gdy nagle ujrzał zmierzające chodnikiem w przeciwną stronę niezwykle zjawisko: uderzającej urody młodą dziewczynę wystrojoną jak na bal kostiumowy.

Przystanął, żeby na nią popatrzeć. Nie zauważyła go. Jej wielkie błędne oczy nikogo nie widziały. I wtedy ją rozpoznał. Uśmiechnął się radośnie: „Nareszcie ją spotkałem! Sprawia wrażenie równie szalonej jak dawniej. Teraz już mi się nie wymknie!”.

104

I oddał się tej przyjemności, jaką sprawia ukradkowe podążanie za kimś, kogo się zna, obserwowanie jego zachowania, interpretowanie jego gestów.

Kiedy opuściła nogi z Pont-Neuf, nie przestraszył się; widział przecież jej radosną twarz, nie wyglądała na osobę zrozpaczoną. Oparty o balustradę mostu wychylił się, by móc obserwować swoją dawną koleżankę szkolną.

Stopniowo jednak zachowanie Plectrude zaczęło mu się wydawać coraz bardziej dziwne. Już jej uniesienie wyglądało podejrzanie; kiedy nabrał pewności, że jeszcze chwila, a skoczy do rzeki, zawołał ją po imieniu i rzucił się biegiem w jej stronę.

Od razu go poznała.

Ich preludium miłosne było jednym z najkrótszych w historii.

- Masz kogoś? - zapytał Mathieu, nie tracąc czasu.
- Panna z dzieckiem - odparła równie suchym tonem.
- W porządku. Chcesz być ze mną?
- Tak.

Schwycił ją za biodra i obrócił o sto osiemdziesiąt stopni, tak żeby jej nogi nie zwisały już w próżni. Pocałowali się w usta, by przypieczętować to, co zostało powiedziane.

- Nie zamierzałaś chyba popełnić samobójstwa?
- Ależ skąd - zaprzeczyła dla przyzwoitości.

Znów ją pocałował. Plectrude zaś myślała: „Jeszcze minutę temu zamierzałam rzucić się do rzeki, a teraz znajduję się w ramionach mężczyzny mojego życia, którego od siedmiu lat nie widziałam, i myślałam, że już nigdy nie zobaczę. Niniejszym odraczam moją śmierć”.

105

Plectrude odkryła rzecz zdumiewającą: to, że można być dorosłym a zarazem szczęśliwym.

- Pokażę ci, gdzie mieszkam - powiedział, prowadząc ją z sobą.

- Szybki jesteś!
- Zmarnowałem siedem lat. To wystarczy. Gdyby Mathieu Saladin mógł przewidzieć, ile kłótni

będzie go kosztowało to wyznanie, trzymałby usta na kłódkę. Ileż to razy Plectrude krzyczała:

- I pomyśleć, że kazałeś mi czekać aż siedem lat! Pomyśleć, że pozwoliłeś mi tyle czasu cierpieć!

Na co Mathieu protestował:

- Ty też mi kazałaś czekać! Dlaczego, kiedy mieliśmy po dwanaście lat, nie powiedziałaś, że mnie kochasz?

- To należy do chłopaka - ucinała stanowczo Plectrude. Któregoś dnia, kiedy znów zaczęła swoją śpiewkę

„i pomyśleć, że kazałeś mi czekać całe siedem lat!”, Mathieu zamknął jej usta wyznaniem:

- Nie tylko ty wylądowałaś w szpitalu. Ja między dwunastym i osiemnastym rokiem życia byłem w szpitalu aż

sześć razy.

- To znaleźliśmy sobie nową wymówkę? Na jakie to kuku cię leczyli?

- Jeśli chcesz znać całą prawdę, to między pierwszym a osiemnastym rokiem życia byłem w szpitalu aż osiemnaście razy.

Plectrude zmarszczyła brwi.

- To długa historia - zaczął.

Mając rok, Mathieu Saladin umarł. Jako niemowlę Mathieu Saladin raczkował po salonie rodziców, zgłębiając fascynujący świat nóg foteli i spodu

106

stołów. W gniazdku elektrycznym tkwił bezpieczny przedłużacz. Sznur zaciekał malucha; na jego końcu znajdował się jakiś niezwykle interesujący półkolisty obiekt, więc wpakował go sobie w usta i poślinił. Porażony prądem padł martwy. Ojciec Mathieu nie mógł pogodzić się

z tym elektrycznym wyrokiem. Nim minęła godzina, zawiózł niemowlę do najlepszego lekarza na świecie. Ten, nie wiadomo w jaki sposób, przywrócił małe ciało do życia. I jeszcze trzeba mu było tylko przywrócić usta, jako że Mathieu Saladin nie miał już nic, co mogłoby odpowiadać tej nazwie: ani warg, ani podniebienia. Lekarz wysłał go do najślawniejszego chirurga świata, który pobrawszy z jednego miejsca fragment chrząstki, z innego kawałek skóry, po długim, żmudnym sztukowaniu odtworzył w końcu nie tyle usta, ile ich strukturę.

- To wszystko, co mogę teraz zrobić - oświadczył. - Proszę odwiedzić mnie za rok.

I co roku ponownie operował Mathieu Saladina, zawsze coś tam dorzucając. Na koniec wygłaszał niezmiennie dwa rytualne zdania. Stały się one tematem żartów w czasach dzieciństwa i wczesnej młodości cudem wskrzeszonego chłopca.

- Jeśli będziesz grzeczny, w przyszłym roku zrobimy ci jęczyczek (jamę gardłową, błonę podniebienia, łuk pod-niebienny, operację plastyczną dziąseł etc). Plectrude słuchała tego wniebowzięta.

- Więc to stąd się wzięła ta boska blizna przez usta!

- Boska?

- W życiu nie widziałam nic równie pięknego!

Naprawdę byli dla siebie stworzeni; dwoje ludzi, z których każde u zarania życia, choć w zgoła odmiennych okolicznościach, otarło się tak blisko o śmierć.

107

A wtedy te same, zdecydowanie aż nazbyt liczne wróżki, które poddały młodą dziewczynę próbie na miarę łask, jakimi ją wcześniej obdarzyły, zesłały na nią najgorszą z egipskich plag: plagę belgijską.

Minęło kilka lat. Życie w idealnym związku z Mathieu Saladinem, muzykiem z zamiłowania, dodało Plectrude odwagi, by zostać piosenkarką. Pseudonim, pod którym występowała: Robert, pochodził od nazwy popularnego słownika języka francuskiego i jak ułaf pasował do iście encyklopedycznej miary cierpień, jakich zaznała.

Często w życiu bywa, że największe nieszczęścia przybierają najpierw maskę przyjaźni; Plectrude poznała Amelie Nothomb i ujrzała w niej przyjaciółkę, bratnią duszę, za którą tak bardzo tęskniła.

Opowiedziała Amelie o swoim życiu. Ta z przerażeniem wysłuchawszy relacji o tym losie na miarę Atrydy, zapytała Plectrude, czy jej liczne próby zadania sobie śmierci nie obudziły w niej żadnych morderczych ciągów wobec innych, w myśl zasady, która mówi, że ofiary to najlepsi z katów.

- Twoja matka zabiła twojego ojca, będąc z tobą w ósmym miesiącu ciąży. Z pewnością musiałaś być przytomna, ponieważ miałaś czkawkę. Zatem byłaś świadkiem.

- Ale nic nie widziałam!

- Siłą rzeczy musiałaś coś zauważyć. Jesteś bardzo specyficznym rodzajem świadka; świadkiem in utero. Podobno dzieci w brzuchu matki słyszą muzykę oraz wiedzą, kiedy ich rodzice uprawiają seks. Twoja matka, kiedy opróżniła magazynek, strzelając do męża, znajdowała się w stanie najwyższego wzburzenia; w ten czy inny sposób musiało ci się to udzielić.

- Do czego zmierzasz?

108

- Że ta zbrodnia w tobie tkwi. Nie mówiąc już nawet o tych wszystkich metaforycznych próbach morderstwa, które podejmowałaś i które w końcu tobą zawładnęły. Jak w takiej sytuacji nie zostać morderczynią?

Plectrude, która nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiała, teraz zaczęła myśleć tylko o tym. A że istnieje coś takiego jak sprawiedliwość, zaspokoiliła swoją żądzę mordu na tej samej

osobie, która podsunęła jej taką sugestię. Sięgnąwszy po broń, z którą nigdy się nie rozstawała, ponieważ była jej bardzo przydatna podczas spotkań z producentami, wypaliła w skroń Amelie.

„To jedyne, co mogłam zrobić, żeby skończyła wreszcie z tym fantazjowaniem - wyjaśniła pełnemu zrozumienia mężowi.

Plectrude i Mathieu, z których każde miało za sobą wielokrotne przeprawy przez rzekę Piekieł, patrzyli teraz na trupa ze łzami w oczach. To jeszcze bardziej zacieśniło więzy łączące tę wzruszającą parę.

Od tego momentu życie ich stało się w sensie niemal dosłownym sztuką Ionesco: Amelie, czyli jak się go pozbyć. Gdyż był to trup bardzo kłopotliwy.

Morderstwo ma to wspólnego z aktem seksualnym, że po jego popełnieniu powstaje to samo pytanie: co począć z ciałem? W przypadku aktu seksualnego wystarczy po prostu wyjść.

Morderstwo nie pozwala na tak łatwe rozwiązanie. To jeden z powodów, dla których wiąże z sobą ludzi silniej niż wszystko inne. Na razie Plectrude i MatisceEH[^]dal nie wiedzą, jakie wybrać rozwiązanie. /V . oД

€ V> 4 ISIS

^oИичнб* bagho

l r ii z

na,

spec Pode wied kied> wałas sposól -Dc

lud;

)IKOŚO

«""JS***

Z AFRYKA

mm

wm

.. Irześc P,СГЯ5

^NWAZOHIE

Worc^V ТopRA,v/OA..-

III

JamesLove9~ve pAYS

III

ZARA^Y

Vi

(MGŁY

o^ZAP6ŻHO, KM*0

W o OB»» ZA

, DOLARA

Fonseco -.FluCB)CIA

^DAME*A°

Roso I

-^Ssai'

2ł.->*"h*

»*££ POGODY

^ATKAPEARt •

Amelie Nothomb

HIGIENA MORDERCY Z POKORĄ I UNIŻENIEM RTEĆ

METAFIZYKA RUR KOSMETYKA WROGA KRASOMÓWCA

B

George Orwell

WIWAT ASPIDISTRA! ROK 1984

Borys Pasternak

DOKTOR ŻYWAGO

Arturo Perez-Reverte KLUB DUMAS FECHTMISTRZ

OSTATNIA BITWA TEMPLARIUSZA SZACHOWNICA FLAMANDZKA

TERYTORIUM KOMANCZÓW CMENTARZYSKO BEZIMIENNYCH

STATKÓW KRÓLOWA POŁUDNIA

OMERTA

B

Michael Ridpath MAKLER FINANSIŚCI OSTATNIA TRANSAKCJA

Ulrich Schmid

CAR BROOKLYNU

Ingo Schulze ,7,-7FŚCIA

33 MGNIENIA SZCZUCIA

Christina Schwarz

TONĄCA RUTH

B

Isaac Bashevis Singer

SZTUKMISTRZ Z LUBLINA

John Steinbeck

TORTILLA FLAT

Irving Stone

PASJA ŻYCIA

Giuseppe Pontiggia

URODZENI DWA RAZY

Peter Ustinov

MONSIEUR HENE

[Aario Puzo

OJCIEC CHRZESTNY SYCYLIJCZYK OSTATNI DON

lastępne książk

Richard Vetere

TRZECI CUD

PARSZYWA HISTORIA

\ Shakar DZIKUSKA

Książkę wydrukowano na papierze Amber Graphic 70 g/m2

ИАтber

BY ARCTIC PAPER

wyprodukowanym przez Arctic Paper www.arcticpaper.com

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Marszałkowska 8, 00-590 Warszawa

tel. (0-22) 827 77 21, 6296524

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: (0-22) 62863 60, 6293201 Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl
Warszawa 2003 Wydanie I
Skład i łamanie: Magraf s.c, Bydgoszcz Druk i oprawa: Druk Intro sa, Bydgoszcz